

# EPOKA

ROK III.

Warszawa, 20 sierpnia 1936 r.

Nr. 6 (71)

## Treść numeru:

### SZKOŁA SADYZMU –

W. Rogowicz

### WIELKA CENA MAŁEJ EMIGRACJI

H. Lukrec

### DOŚĆ TYCH POTWORNOCI! –

H. Krahelska

### DWA PAŃSTWA – JEDEN DRAMAT

prof. W. Dzwonkowski

### KRETYNEUM ŚWIATA

### K. H. ROSTWOROWSKI i S-ka –

A. Grot

### EPIZOD Z ŻYCIA

### GEN. ORLICZ - DRESZERA –

K. Grudziński

### Wydarzenia i dokumenty

### Przegląd polityczny

### Odgłosy – Najnowsze książki

### Teatr — Kino — Radjo

## SZKOŁA SADYZMU

Nie wiem czy wśród najgorętszych zwolenników dyktatury, ubóstwienia państwa (amatorów t. zw. państwa totalnego), rządów monopartyjnych, znajdzie się człowiek — człowiek, nie bydlę dwunożne — któryby uważał za rzecz pożądaną dla jakiegokolwiek narodu rozwijanie i podsyćcie drzemających w naturze gatunku *homo sapiens* instynktów sadystycznych. Spustoszenia moralnego, jakie w duszach sprawadza wyzwolenie tego podłego popędu, nie okupią żadne sukcesy materialne, któremi każda dyktatura, po umocnieniu swego panowania, rada się chlubić, za nic sobie mając deprawowanie przeciętnego obywatela tym *schweiggeldem* dla obrażonego w nim człowieczeństwa.

Stawiam tezę: *dyktatura, jako ustrój, jako stały stosunek władzy do obywatela — jest szkołą sadyzmu.*

Dlaczego aż tak?...

Dyktator może być osobiście człowiekiem nieprzeciętnej moralnej wartości, może czuć odrazę do znęcania się, czy to nad jawnym przeciwnikiem politycznym, czy też o to tylko podejrzaną jednostką.

Ale to jest złudzenie, że dyktator rządzi ludem.

Rządzą ci, na których się opiera, którzy go wynieśli i trzymają na wyżynie nominalnej władzy, — ci którzy w sumie siły im przezeń danej są silniejsi od niego, jak słupy są silniejsze od dachu, co na nich spoczywa, ci jedyni, przeciw którym on nigdy wystąpić nie może, bo szalenciec tylko podcina gałąź, na której siedzi.

Rządy dyktatora są fikcją. Rzeczywistością są rządy wszelkiej „gwardji”, w której rękę on jest w istocie zakładnikiem i wraz gwarantem jej bezkarności w nadużywaniu otrzymanych przywilejów.

Jakkolwiek się nazywały w dziejach ludzkości te podpory autokracji, pretorjanami cesarów, oprycznikami Iwanów Groźnych, kamaryllą dworską ostatnich Ludwików — aż do partyj rządzących w obecnych państwach dyktatorskich, i rola ich, i psychika pozostały jednakże, zmieniły się tylko uniformy, od ciężkich zbroi do sportowo-wojskowych bluz lub ubrań zgoła cywilnych.

Pluskwa, gdy jednorazowo nasyci się krwią ludzką, może podobno zgórą rok obywać się bez żadnego pożywienia. Niestety, „wybrańcy” (nazwijmy te typy sumarycznie wybrańcami) nie są pluskwami. Zachowanie przez nich aktywności wymaga stanu ciągłego upojenia daną im władzą, a że to pijaństwo u duchowych niewolników i chamów, z których te zastępy z reguły się rekrutują, uzewnętrznia się aktami



sadyzmu — nie nasycają się niemi nigdy, owszem, ćwiczą się i doskonalą w swej sztuce dręczenia, różnicują wedle indywidualnych zdolności do rzemiosła szpiegów i oprawców.

Niekiedy są bardzo pomysłowi.

Z niezliczonych przykładów, z których przyszli dziejopisowie czerpać będą materiał do „wizerunku dzikusa cywilizowanego XX wieku”, wybieram oto trzy dość charakterystyczne ze względu na wspólne rysy, niezależne od szerokości geograficznej i takiego czy innego antydemokratycznego reżymu.

Tyrol włoski. Nauczyciel ludowy narysował na tablicy płaską, wydłużoną cegiełkę. Zwraca się do uczniów:

— Co to wyobraża?

Nikt nie odpowiada. Wzrok nauczyciela przebiega klasę: żadne z chłopskich dzieci nie odgadło.

— Ależ to kawałek cukru! Więc u was niema cukru?

Bierze kredę i pod kawałkiem cukru rysuje małą okrągłą pastylkę.

— A to?

Odrzuca połowa uczniów odpowiada zgodnym chórem:

— Sacharyna!

— Bardzo dobrze! kto zgadł, niech wstanie.

Połowa klasy wstaje, uszczęśliwiona pochwałą.

Nauczyciel bacznie im się przygląda, winszując z uśmiechem rozgarnięcia i przechodzi do nauki rachunków.

Nazajutrz rankiem karabinjerzy wpadają do domów, zamieszkanych przez dzieci, które zgadły. Rewizja. Znajdują sacharynę. Protokół. Grzywna.

Bo to dzieje się w Eisachtal, w Tyrolu „włoskim”, o dwa kroki od granicy austriackiej. Cukier drogi, chłopci biedni, a przemysłowcy śmiali.

Nauczyciel, pracujący w ten sposób na rzecz „wielkiej włoskiej ojczyzny” nosi mundur faszysty, co mu widocznie pozwala na łączenie w swym patriotycznym sumieniu funkcji oświatowych ze szpiclowaniem na rzecz komory celnej.

Ale to byłaby mała satysfakcja dla tej kanalii.

Wie ona dobrze, że tu nie chodzi o sacharynę, że to tylko pretekst administracyjny do *nałożenia grzywny — bez zamiany na areszt*. Chodzi o zrujnowanie niemi tyrolskiego chłopca spod „Bolzano” czy „Merano”, słowa nie rozumiejącego po włosku, by jaknajprędzej można go było licytacją wyzuć z ojcowizny i puścić z torbami, a na jego miejsce osadzić zasłużoną dla „cesarstwa rzymskiego” czarną koszulę.

Czy bohaterski chłop tyrolski, Andreas Hofer, którego pomnik zdobi Innsbruck, mógł kiedy przypuszczać, jaki los zgotuje jego braciom nowa cywilizacja rzymska!

Teraz posuńmy się bardziej na północ, do stolicy Trzeciej Rzeszy.

Oto co mi opowiadał w Warszawie, niemal na ucho (psychoza strachu) znajomy ucziwy Niemiec, zamieszkały w Berlinie.

Choć to jest na porządku dziennym, i wszyscy o podobnych faktach wiedzą.

Obywatel niemiecki, z dziada pradziada osiadły w Berlinie Żyd, ma dom. Prawo własności w Trzeciej Rzeszy jest święte — dla aryjczyków. Nie-aryjczyk wie o tem, chce dom sprzedać i wyemigrować. Niewolno. Poco ma sprzedawać? Jest prawnym właścicielem nieruchomości, nikt go nie wywłaszcza. Tyl-

ko... kolejno wszyscy lokatorzy (S. A. tego pilnują) żądają remontów, kapitałnych i terminowych. Za spóźnienie się o jeden dzień (Niemcy, wiadomo, są akuradni) odpowiednia komisja wali ogromną grzywnę. I żąda zmian wprowadzonych wielkim kosztem instalacji. Właściciel dużej kamienicy po kilkakrotnych tego rodzaju praktykach jest kompletnie zrujnowany. Przyzwolitsi lokatorzy, widząc co z człowiekiem wyprawiają, szepcą mu na ucho, że oni nic temu nie winni, że im *każą* żądać tych szalonych nakładów. Niepotrzebnie: on wie o tem dobrze, że są steroryzowani. Próbuje się wszelkimi sposobami uwolnić od straszliwego „właścicielstwa”. Daremnie. Zostaje nędzarzem, nie ma na obiad. Wreszcie, doprowadzony do kresu sił, uwalnia się... wystrzałem z rewolweru. Ale umarł, *jako właściciel domu*. W Trzeciej Rzeszy się nie wywłaszcza. Tu nie Bolszewja.

Czytelnicy „Epoki” dawnej i obecnej, sądzę, nie podejrzewają mnie o szczególne wzruszanie się losem kamienicznika i rozumieją, nie wątpię, że chodzi mi tu o co innego: o nieludzkie znęcanie się nad człowiekiem, o wyrafinowany, bo pozorami legalności osłonięty sadizm.

Znowu o to samo.

I wreszcie — obrazek trzeci, świeżo opowiedziany mi — już bez goryczy, raczej tylko z politowaniem, przez Polaka, przybyłego z Rosji Sowieckiej dopiero *przed kilku laty*.

Miał jednopiętrowy własny dom w uzdrowisku na południu. Rewolucja go skonfiskowała. Trudno. To było w logice rewolucji. Ale oto po latach, miejscowy sowiet wyświadcza niespodziewaną łaskę burżujowi: dziesięć lat wśród nich spędził, pracował... „*bieri nazad*”. Oczywiście wziął. Dom był strasznie zniszczony przez społeczne cele, którym służył. Kazali zremontować. Postawił się na pazury, chałupę wyporządził. Poczekali, a potem: „*dom nużen, towariszcz, otdawaj!*” Zabrali. Mówi się: „trudno”. Ale kiedy po jakimś czasie znowu zaproponowano mu zwrot domu, już znowu dostatecznie zniszczonego, stary Polak, umiejący odważnie przemówić językiem rosyjskim, i po rewolucji najbardziej w pewnych razach w tym kraju zrozumiałym, podziękował przy wtórze wiadomej aluzji do matki i rzekł się własności definitywnie. Zaprotokółowano. Czortowij starić nie dał się już nabrać. Puścili do Polski.

Sadyzm gruboskórny, prostacki. Łatwiej sobie z nim dać radę.

\*\*\*

Piękne i pożyteczne są hasła, pod którymi czasy dzisiejsze stawiać nam *każą* frontem do różnych rzeczy: do morza, do gór, do sportu, do lasu, do oświaty — nie wyliczylibym wszystkiego.

Ale jeżeli nad temi różnemi frontami nie dominuje wszechogarniające je, syntetyczne hasło „*Frontem do człowieka!*” czyli do polepszenia ludzkiej doli w oparciu o poszanowanie człowieczeństwa w każdym, bez różnicy barwy skóry, rasy, religii i narodowości, wszystkie reformy, przewroty i rewolucje będą bezpłodne — i ludzkość dzisiejsza, spętana nienawiścią, spodłona pogardą dla prawa moralnego, przejdzie przez krwawą kąpiel wojny, straszliwszą niż kiedykolwiek, lecz zasłużoną, skoro *będąc ludzkością, stanęła tyłem do człowieka!*

Wacław Rogowicz.



# WIELKA CENA MAŁEJ EMIGRACJI

W poprzednim numerze *Epoki* wskazywaliśmy, że obóz skoncentrowanej niedoli ludzi, wyjętych z pod prawa, wyrósł jako zaprzeczenie wiekowej polskiej tradycji walk o wolność, że wyłonił się ubocznie u nas nie jako naturalny wytwór życia polskiego, nie jako emanacja jego ducha, lecz jako ponury refleks i cień obcej tyranii. Dotąd przez całe stulecie imię Polski ukazywało się na widnokręgu świata w płomieniach buntu przeciw ciemństwu i bezprawiu, a jeżeli w świat szła za nami smuga cierpienia, to w postaci emigracji politycznej, stanowiącej zaczyn nowych powstań i walk, poczynając od wychodźstwa po konfederacji barskiej, które przygotowało powstanie kościuszkowskie, aż do ostatniego, w przededniu wojny światowej, które wyrąbało drogę do niepodległości. Bereza więc i w świetle dziejów polskich i także w świetle współczesnego procesu rozwojowego nie może uchodzić u nas za naturalny organ rządzenia, lecz za złośliwy nowotwór, przeszczepiony z obcych organizmów państwowych, przede wszystkim z hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch.

Te wielkie doniedawna kraje umysłowej i duchowej kultury, a stanowiące dziś katakumby wolności, otoczone zostały kolczastym drutem obozów koncentracyjnych, symbolizujących dobrodziejstwa bytu w słonecznej faszystowskiej Arkadii XX-go stulecia. Wyspy Liparyjskie, dokąd bez sądu zsyłani są w kajdanach na wieloletnie odosobnienie wszyscy dumni Włosi, niepokodzeni z Mussolinim, są tylko jedną z wielu katowni. Nie pomieściły one kwiatów włoskiego intelektu, pogrążyć więc w mroku wypadło i inne jeszcze cudowne zakątki słonecznej Italii w obozy odosobnienia, jak Lampeduza, d'Ustica, de Favignana, Ponza. Poddane władzy oprawców, różnych Veroników i Guasków, rywalizują w Europie pod względem okrucieństwa i samowoli z obozami niemieckimi, a nazwy tych ognisk męczeństwa utrwalają się w dziejach i budzą w wyobraźni ludzi wolnych takie same ponure i wstrząsające obrazy kaźni, co Bastylja paryska, Schlüsselburg petersburski lub Cytadela miłkołajewska w Warszawie. Wszystko, co stanowiło dumę Italii i Niemiec, a zdołało uniknąć obozów koncentracyjnych, uszło na emigrację. Kraje wolne przegrały poczty działaczy społecznych, redaktorów pism demokratycznych, posłów, ministrów, pisarzy, uczonych, artystów i t. d., którzy tworzą dziś pomnożone wychodźstwo nowoczesnych Arystydesów i Ovidiuszów.

I niepodległa Polska ma, niestety, swoją emigrację polityczną, której kosztą kraj własnym imieniem płaci w ogromnej skali i w potwornej dysproporcji z jej rozmiarami. Gdy niemieckie i włoskie wychodźstwo liczy wiele dziesiątków tysięcy ludzi, polskie składa się dosłownie z *czterech osób*, tj. mniej, niż pierwsza lepsza delegacja na międzynarodowy zjazd naukowy lub do jakiejś komisji rzeczoznawców. Odrzucając nawet wszelkie względy uczuciowe, moralne, humanitarne, a jedynie rozważając zagadnienie naszego wychodźstwa ze stanowiska prostego rachunku politycznego i głębiej pojmowanej racji stanu, — Polska uznać musi tę rzecz za niepożądaną dla siebie, nieopłacającą się i szkodliwą. W oczach wszystkich

narodów wolnych, niecofniętych przez faszyzm w pomroki średniowiecza, w oczach demokracji Anglii, Belgii, Francji, Holandji, Szwecji, Norwegii, Danii, Szwajcarii, Ameryki, niemających ani emigracji politycznej ani obozów koncentracyjnych, — Polska uchodzi za kraj tak samo autokratycznie rządzony, co sułtanat Mussoliniego i Hitlera. Tę cenę płacimy za czterech swoich emigrantów i za setkę zesłańców, wyjętych z pod prawa i osadzonych w Berezie Kartuskiej, t. j. płacimy tyleż, co Niemcy i Włochy za setki tysięcy banitów i męczenników w licznych i wielkich obozach koncentracyjnych. Tylko despotie, oparte jedynie na sile fizycznej, państwa przemocy, upośledzone pod względem sił i praw moralnych, oraz duchowych autorytetów w narodzie, tak jak dawniej carat i sułtanat, a dziś hitleryzm i faszyzm, — mają wychodźców, ofiary ucisku w kraju.

O tem, aby rządy Włoch i Niemiec mogły się zdecydować na ułaskawienie wielu dziesiątków tysięcy swoich emigrantów politycznych i więźniów z obozów koncentracyjnych, — myśleć poważnie niepodobna. Zbyt wąte są podstawy moralne i społeczne istnienia tej władzy i zbyt uboga jest w środki do swobodnego współzawodnictwa w sferach myśli i ducha, by mogła wytrzymać wstrząsy, któreby wywołał powrót do kraju tysięcy wybitnych mózgów i tęgich charakterów, groźnych zresztą dla nich nawet na obczyźnie i tam wciąż tropionych i prześladowanych. Ale Polska, przeciwnie, zbyt wielkie straty moralne ponosi i zbyt wielką cenę płaci za czterech swoich emigrantów i za jedną Berezę Kartuską, aby wytrzymać to mogło zwyczajny rachunek polityczny.

Henryk Lukrec.

## ODGŁOSY

### J A S K R A W A N A U K A

W n-rze 1 (66) *Epoki* z dn. 7 czerwca r. b. pisał dr. Włodzimierz Jampolski (w artykule p. t. „Nacjonaliści wszystkich krajów łączcie się”):

„Na przykładzie Francji widać wyraźnie, jak ściśle polityka zagraniczna związana jest z wewnętrzną. Można by powiedzieć, używając określeń uproszczonych, a tem samem niezawsze uwzględniających bardziej skomplikowaną treść wewnętrzną, że mamy we Francji obóz włoski, obóz niemiecki, obóz angielski, obóz sowiecki. Społeczeństwo francuskie szuka wyjścia z zagmatwanej sytuacji światowej i musi się oglądać za sprzymierzeńcami. Szukanie ich i znajdowanie podyktowane jest w znacznej mierze orientacją wewnętrzną, *sympatjami dla danych ustrojów państwowych*. A więc nacjonaliści francuscy sympatyzują z pokrewnymi sobie Hitlerem i Mussolinim. Żywioły demokratyczne dążą do kooperacji ściślej z Anglią, a im dalej posuwać się będziemy na lewo, tem mocniej akcentuje się wartość sojuszu francusko-sowieckiego. Stare orientacje, dawne frazesy idą w ką. Faszyści francuscy, którzy w swoim czasie nie chcieli słyszeć o Niemczech republikańskich, płaszcą się dziś przed Hitlerem... Ten *objaw ciężenia ku sobie pokrewnych ideologii poprzez granice*, nieraz nawet wbrew oczywistym interesom własnym, *występuje na każdym punkcie globu*. Faszyści bułgarscy ciążą do Włoch. To samo czynią faszyści austriaccy, gdy



ich hitlerowscy ziomkowie słuchają ślepo rozkazów odbieranych z Berlina. Lewica hiszpańska sympatyzuje z francuską, faszyzm hiszpański z Mussolinim i t. d."

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy „ciążenie ku sobie pokrewnych ideologii" widać jeszcze wyraźniej. Układ niemiecko - austriacki z dn. 11 lipca r. b., zawarty pod auspicjami Mussoliniego, był pełną wymowy manifestacją solidarności trzech państw faszystowskich. Jeszcze jaskrawiej uwypukliła się solidarność europejskiego frontu antydemokratycznego od chwili wybuchu wojny domowej w Hiszpanji. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy i Włosi popierają powstańców hiszpańskich nie tylko moralnie i materialnie, jednocześnie prasa tych krajów z całym cynizmem ostrzegała Francję i Anglię przed udzieleniem jakiegokolwiek pomocy legalnemu rządowi hiszpańskiemu, co byłoby „złamaniem neutralności".

U nas też organy Stronnictwa Narodowego „pomagają", jak mogą, faszystowskiej opozycji hiszpańskiej, również ostrzegając Francję przed udzieleniem pomocy hiszpańskiemu rządowi „komunistycznemu" (w którym — dodajmy — niema ani jednego komunisty).

Tak więc ma sprawa wyglądać: można pomagać tym, którzy chcą obalić legalną władzę swego kraju, to nie będzie złamanie neutralności, ale popieranie i pomoc okazana faszystowskiej opozycji, która wywołała straszną wojnę domową, to — obowiązek... dla dobra Hiszpanji!

Trudno o wymowniejszą naukę. Solidarność faszystowska wszystkich krajów manifestuje się jaknajjaskrawiej. A solidarność antyfaszystowska jest jednocześnie proklamowana jako... antynarodowa i antypatriotyczna, jako zdrada kraju!...

## O B Ł U D N E Ż A L E

Prasa paryska zainteresowała się „wersalskiem" przyjęciem, zgotowanym niedawno w Polsce delegacji Towarzystwa Przyjaciół Narodu Polskiego w osobach: dr. Jana Painlevé'go, syna b. premiera Francji, adw. Bastian'a z Brukseli i pani Denise Morand, publicystki francuskiej. Pismo *Paris-Soir* umieściło zwierzenia uczonego, wybitnego i niestrudzonego twórcy filmów naukowo - pedagogicznych, dr. J. Painlevé'go. Z wynurzeń tego entuzjastycznego przyjaciela Polaków dowiadujemy się, że go u nas aresztowano, odstawiono do więzienia, oraz skonfiskowano mu film folklorystyczny, który nakręcał bez specjalnego na to pozwolenia. Po stwierdzeniu tożsamości, wypuszczono go po upływie trzydziestu godzin, ale przez ten czas — według słów Painlevé'go — zdążono w więzieniu ogolić mu głowę, niczem galernikowi. „Skierowałem się — mówi dr. Painlevé — bezpośrednio ku granicy, nie oglądając się nawet, i ślubując sobie, że tam mnie więcej nie zobaczę".

Każdy kulturalny Polak wyznania te przeczyta z rumieńcem wstydu, mając jednocześnie pełną świadomość, że grunt do obejścia się w ten sposób z cudzoziemcem i w dodatku z przyjacielem Polaków przygotowała nasza wrzaskliwa, brukowa prasa, która przez cały czas pobytu tej delegacji u nas, szczuła i podżegała przeciwko niej, nie zachowując elementarnych form przyzwoitości. Piętnowaliśmy już to haniebne postępowanie, tę wściekłą, zapienioną naganek na turystów, niepraktykowaną dotychczas w Pol-

sce. Tylko ludzie o kurzych mózgach, mogli przez chwilę bodaj uwierzyć, że ci goście przyjechali do nas jako szkodnicy i wrogowie narodu.

Ale najciekawsze z tego wszystkiego jest stanowisko *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*, który wzorem starych wyjadaczy myśliwskich szedł na czele naganek, mającej osaczyć tych gości. Dziś, po tem wszystkim co się stało, — z miną obrażonej niewinności prawi oto takie duby smalone:

„Wprawdzie *Paris-Soir* traktuje całe zajście humorystycznie(?), lecz abstrahując od złości i przyczyn podróży p. Painlevé, szkoda tylko jednego: jego włosów... Bo zdarza się aresztowanie przez pomyłkę. Jeśli jednak idzie tu o osobę cudzoziemca, to czy nie byłaby pożądana ostrożność władz policyjnych. Ostrzyć włosy nawet niebezpiecznemu zbrodniarzowi czy szpiegowi, można nawet z opóźnieniem 36-godzinnem, czyli po wyjaśnieniu jego tożsamości. Ale ten pośpiech w stosunku do cudzoziemca, zgódźmy się nawet, że niepożądanego, nosi wszelkie cechy złośliwości typowo azjatyckiej, a więc nam obcej i rażącej. Bezcelowa ta złośliwość stworzyła nam wroga. I po co taka propaganda „negatywna"?"

A teraz godzi się zapytać, czy cała ta naganka, prowadzona zajadle również przez *I. K. C.*, nie nosiła „wszelkich cech złośliwości typowo azjatyckiej" i czy nie przygotowała ogolenia głowy szlachetnemu Francuzowi? I któż to roni dziś łzy rozczulenia? Cóż to za maskarada obłudnych naganiaczy i świętoszków!

## KRETYNEUM ŚWIATA

Część naszej prasy uważa, że najciekawszym miejscem na świecie jest w tej chwili stadjon berlińskiej Olimpiady. Niektóre pisma zdają relację z Olimpiady na całych kolumnach, na miejscach naczelnych. A dopiero dalej — wiadomości o tem, co się dzieje w Hiszpanji, Grecji, Abisynji i t. d. Prawdopodobnie odpowiada to poziomowi czytelników tych pism i skali ich zainteresowań.

I w takiej chwili, jak obecna, w chwili najgroźniejszych zakłóceń politycznych, w chwili niebezpieczeństwa wojny — namiętne rozważania o tem, czy surowy bęsztyk zaszkodził niefortunnemu Noji i czy Walasiewiczówna wyleczy nadwyreżony staw w nodze!

Jest coś bezbrzeżnie idiotycznego w tych emocjach. „Wielkie sensacje" Olimpiady dobrze świadczą o stanie umysłu pewnej części ludności europejskiej. Jest to stan psychozy sportowej, w dużej mierze wywołanej świadomości przez reżyserów politycznych. I właśnie tam — w Berlinie, stolicy państwa, którego rządy szerzą nienawiść narodowościową i rasową, tam właśnie — widowisko „szlachetnego współzawodnictwa" narodów i ras...

Przychodzi tu na myśl wiersz Kazimierza Wroczyńskiego z tomiku „Podparnasie polskie" (parodia wiersza Kazimierza Wierzyńskiego):

Oto tu jest największe Kretyneum świata,  
Gdzie nonsens mody bije w oczy najwymowniej,  
Gdzie przez ekstrakopniaka łby sobie charata  
Miljon gapiów na wielkiej rozsiadły widowni  
I pokażcie mi teraz, gdzie? w jakim teatrze?  
Jaki Szekspir tak wstrząśnie tłumem przeokropnie,  
Jak tragedia przy golu, gdy atak źle natrze  
I, miast piłkę, w pośladek przeciwnika kopnie.  
Zaiste — wielkie Kretyneum świata...



# DOŚĆ TYCH POTWORNOCI!

Jest rzeczą oczywistą, że ustrój gospodarczy, wogóle warunki gospodarcze wpływają na psychikę społeczeństwa, zwłaszcza zaś — na postawę psychiczną inteligencji, zawieszoną między klasami posiadającymi a najmitemi i wszelką biedotą. O zależności tej tak wyczerpująco napisał w swej nowej książce *Wincenty Rzymowski* („Prawo do życia a powinność pracy”), że pozostaje tylko odesłać czytelników do tej skrupulatnej analizy. — Nie mam tedy złudzeń, żeby publicystyka, dziennikarstwo w ustroju kapitalistycznym mogły się całkowicie uniezależnić od przemożnych wpływów pieniądza i władzy, jaką daje pieniądz. Podobnie jak rzetelna, gruntowna, istotna ochrona pracy nie jest do zrealizowania w tym ustroju, tak również ustrój uniemożliwia istnienie niezależnej prasy i publicystyki.

A jednak coś nie coś i w tym ustroju było by do zrobienia. I znów przeprowadzę tu analogję pomiędzy temi dwiema dziedzinami, które znam dobrze: ochroną pracy — z tytułu dawnego\*) — i publicystyką — z tytułu obecnego mego zawodu. I w jednej i w drugiej dziedzinie można i w tym ustroju sporo rzeczy zmienić i ulepszyć. Wprowadzenie umów zbiorowych, regulujących warunki pracy i płacy, zalegalizowanie i odpowiednie wyposażenie przedstawicielstwa robotniczego, uprawnionego do wpływania na warunki pracy, skrócenie czasu pracy, usunięcie — przy zastosowaniu jaknajostrożniejszych rygorów — zjawiska, zwanego „podwójnym haraczem najmityki”, zaopiekowanie się macierzyństwem pracownicy, wprowadzenie w życie zakazu bezpłatnego zatrudniania dzieci, wszystko to byłyby sposoby, któreby wydatnie polepszyły aktualne warunki pracy w Polsce.

Podobnie jest i w dziedzinie prasy, dziennikarstwa, publicystyki, słowem — tego warsztatu, który służy do pobudzania, mobilizowania, urabiania opinii publicznej. Nie potrafimy oderwać tego warsztatu od silnej zależności i od głębokiej demoralizacji, jaka jest związana z tym ustrojem. Ale moglibyśmy się przecie pokusić o ratowanie *poziomu publicystyki polskiej*, o dźwignięcie choć cokolwiek w górę tego poziomu, o oczyszczenie atmosfery, w jakiej tworzy się dziś w Polsce mobilizację opinii publicznej. Wątpię, żebym się okazała odosobnioną, gdy stwierdzę, że w okresie ostatnich kilku lat *katastrofalnie obniża się poziom intelektualny i etyczny naszej publicystyki*.

Za jedną z najważniejszych przyczyn obniżających ten poziom, uważam działanie destruktyjnych wpływów niemieckiego faszystwu — hitleryzmu. Sądzę, że przyczynę tę dostrzec można niezależnie od tych lub innych sympatyj i antypatyj oraz poglądów: tak samo oceni to każdy obiektywny, wnikliwy obserwator. Nietylko bowiem służba dziennikarska i publicystyczna w dzisiejszej Trzeciej Rzeszy jest na bardzo niewybrednym poziomie; nietylko przemówienia twórców reżymu przez radio budzą najgłębsze zastrzeżenia natury kulturalnej. Poziom wydawnictw naukowych współczesnych Niemiec, zadziwia po prostu *niestłuchanie ostrym, rażącym upadkiem*. Znam pewną kategorię wydawnictw naukowych z dziedziny ekonomii społecznej, polityki społecznej, socjologii,

stosunków pracy. W roku 1929, w czasie swej podróży Rockefellerowskiej, nie znalazłam w tej dziedzinie poważniejszych wydawnictw, niż niemieckie. A jak to teraz wygląda! Każda książka, jaka teraz wypadnie mi w ręce z tego zakresu wiedzy, budzi naprawdę politowanie, połączone ze zdumieniem: to tak można pisać? można brednie historyczne podawać za poważne wywody? — Zresztą nietylko w dziedzinie, którą znam osobiście, można poczynić takie spostrzeżenia. Polacy, którzy kontaktują się z światem naukowym Niemiec współczesnych, wiedzą o cierpieniach poważnych niemieckich uczonych, biologów, fizjologów i innych, którzy wbrew własnej wiedzy i wbrew własnym poprzednim dziełom naukowym zmuszeni są dziś pisywać naukowe uzasadnienia... rasizmu i t. p. nonsensy.

To zjawisko obniżania poziomu myśli promieniuje i na nasz kraj. Promieniuje szczególnie silnie i natarczywie wskutek ułatwionej przez nieszczęśliwy kierunek naszej polityki zagranicznej — *niezwykle silnej infiltracji wpływów hitleryzmu*.

Może w różnych dziedzinach wiedzy okażemy się jednak odporni; starą mamy kulturę myśli i mamy iednak trochę przyzwyczajenia do własnych myślowych dróg. Ale w prasie infiltracja tych wpływów, obniżających poziom myśli, jest niezmiernie ułatwiona przez sam rodzaj umysłowej pracy dziennikarza. Sądzę, że nie urażę tem kolegów, do których grona przecież się zaliczam, gdy powiem, że nawet służba publicysty, nietylko zwykła dziennikarska, jest poniekąd służbą pełnioną „na kolanie”, często w warunkach, wykluczających prawdziwe skupienie, w tłocznych i hałaśliwych lokalach, w wielkim pośpiechu, pod przymusem krótkiego terminu. Cóż stąd wynika? Idzie się po linii najmniejszego oporu, ulega się wpływom idei, najnatarczywiej napływających zzewnątrz, najjaskrawiej hałasujących przez radio, przemawiających językiem „faktu dokonanego”, językiem zapożyczonym, płaskiej ale krzyczącej „autorytatywności”. Cóż stąd wynika w rachunku społecznym, dla przyszłości Polski, dla młodych polskich dusz, dla rozwoju naszej kultury? Skutki głęboko ujemne. Spływanie, wulgaryzowanie zjawisk i faktów życia zbiorowego, wypaczanie stosunku do największych wartości etycznych, stosunku do człowieka.

Podniosę tu kilka zasadniczych plag, wykrzywających szkaradnie oblicze naszej współczesnej prasy i publicystyki. Na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie stosunku do człowieka, owo przecież kardynalne zagadnienie etyczne. I tu bodaj najjaskrawsze są spustoszenia, jakie zawdzięczamy naśladowaniu hitleryzmu, wogóle wzorów faszystowskich. Na czoło całej polskiej prasy wysuwa dziś takie pismo, jak *Ilustrowany Kurjer Codzienny*, który się nie zastanawia i nie cofa przed żadną napaścią na osobę, o ile sądzi, że można napaść bezkarnie. A więc — lwowski zjazd pisarzy — bezprzykładna naganka na Rzymowskiego; zmiana na stanowisku krakowskiego inspektora pracy — wściekła napaść na Czarnieckiego; starosta Bogusławski ośmielił się odnieść krytycznie do wywodów jakiejś ziemianki — atak na Bogusławskiego; inny starosta pozwolił sobie rozmawiać zbliżka i ze współczuciem z chłopami — znów ofenzywa! Przyczem we wszystkich wypadkach — z pianą na ustach,

\*) Autorka była przez parę lat inspektorką pracy.



z najbezczelniejszym szarganiem czci ludzkiej, z pomawianiem o rzeczy nieetyczne i t. p. Oczywiście — podszewka pobudek i sympatyj społecznych wyłazi na wierzch. Atakują bowiem ludzi, których uważają — słusznie lub nie — za lewicowo-nastrojonych. Atak taki wygasa z miejsca, jak tylko ujawni się, że dłużej nie da się tego robić bezkarnie. Tak z miejsca wygasił atak na Czarneckiego, po ogłoszeniu w *Kurjerze Porannym* długiego szeregu podpisów wybitnych obywateli i instytucji społecznych, które zaprotestowały przeciw napaści. Po okólniku zaś premiera do starostów, nakazującym im jaknajbliższe kontaktowanie się z ludnością i przedstawianie stosunków w barwach, ściśle odpowiadających rzeczywistości, zapewne ustanie atak na wymienionych starostów.

Lekceważenie istoty ludzkiej, nawet życia ludzkiego dosięga naprawdę niebywałych rozmiarów. O takich faktach, nierzadkich dziś — ku hańbie Polski, — gdzie dziedzic lub jego urzędnik kładzie trupem chłopca za wiązanek chrustu, znajdujemy zazwyczaj w prasie mieszczańskiej — i to właśnie w tej najkrzykliwszej, zaledwie suche, lakoniczne wzmianki. Cóż tu się rozpisywać o takiej bagatelce! Tak samo lakonicznie, bez żadnego zainteresowania, traktowane są nowe metody, przypominające działania Ku-Klux-Klanu, jak np. ostatni napad na socjalistę Dubois na ulicy w Warszawie. Cóż tu się rozpisywać! Nieważna rzecz! To przecie lewicowiec.

Przecie mamy lepsze wzory do naśladowania za granicą. Można jak w Niemczech, być czymś najlepszym przyjacielem, najbliższym kolegą i ścisnąć się z nim do wieczora, w nocy zaś kazać go zamordować, w dodatku oszkalowując go po śmierci. Można, jak w Rumunii, zjawić się w szpitalu w ośmiu, zamordować człowieka chorego, w łóżku, a potem z bohaterским gestem oddać się w ręce policji. Więc w porównaniu z tem — coż znaczą takie niewinne igraszki, jak u nas!

Ze stosunku do człowieka wynikają potem rozmaite odcienie w stosunku do zbiorowisk ludzkich, do narodów, do ich najkrwawszych męczeństw, najboleśniejszych dramatów. I tu działa ten nowy „kategoryczny imperatyw”: poniewierać! I otóż tak samo I. K. C. zadaje najboleśniejszy cios zaiste najszlachetniejszym imponderabiljom polskim, gdy broni włoskiej napaści na Abisynję, gdy poniewiera mękę i walkę napadniętych, dławionych, podbijanych, — gdy się cieszy ze zwycięstwa napastnika. Oto pióro Polaków, urodzonych przecie jeszcze w Polsce niewolnej, w Polsce podzielonej, w Polsce, krwawiącej w bohaterskiej walce o wyzwolenie! Trudno będzie zmasać z nas to piętno, że prasa polska głosiła dytyramby na cześć... podniosłej „misji cywilizacyjnej” wówczas, gdy został napadnięty i podbity nieszczęśliwy naród. Że w prasie polskiej, z wyjątkiem prasy lewicowej, robotniczej i chłopskiej, nie znalazło się dla tych metod ostrych słów potępienia.

Wpływ faszyzmu — zwłaszcza hitleryzmu — można stwierdzić w wielu pismach, w treści, formie i poziomie artykułów, notatek, komunikatów o stosunkach międzynarodowych, w adoracji polityki „faktów dokonanych”, choćby skutki ich, jak np. takiej remilitaryzacji madreńskiej, były nietylko niewesołe dla całokształtu spraw europejskich, ale wręcz groźne dla przyszłości państwa polskiego, ze względu na rozwijające się apetyty zaborcze Rzeszy. Z drugiej strony — coż za kwas, niechęć, niewiara, w końcu

— nieprzytomne ujadanie niektórych pism — w stosunku do krajów, gdzie warstwy ludowe dochodzą do głosu. Naprawdę — niema chyba takich grózb i przepowiedni, jakie by nie rzucono ze szpał prasy polskiej pod nogi rządowi ludowemu Francji lub Hiszpanji. A więc nienawiść, wściekłość, furja dla każdego odruchu myśli wolnej, każdego kierunku bardziej radykalnego społecznie. Furja, myląca w oczach zacietrzewionych wszelkie barwy, gdy taki np. rząd Azany mógł być kwalifikowany jako komunistyczny!

W związku z wypaczonym stosunkiem do człowieka, ze spadkiem poziomu myślenia w publicystyce i prasie polskiej — ocena wewnętrznych stosunków, zwłaszcza konfliktów społecznych w Polsce — doznaje również bardzo zasadniczego skrzywienia, pozostającego bez żadnej wątpliwości pod wpływem tych samych, „modnych” wpływów, idej wojującego faszyzmu.

Każdy krok natury faszystowskiej w naszym państwie spotykany bywa w prasie ze źle maskowanym podziwem, jak to było ostatnio nawet w stosunku do tak głęboko występnego kroku, jak ów naiażd Doboszyńskiego na Myślenice. W tym wypadku *Gazeta Polska* słusznie zaatakowała pisma obozu narodowej demokracji. Lex Doboszyński! Człowiek inteligentny, oświecony, pisarz, podający się za wyznawcę Tomaszka z Akwinu, — prowadzi zależnych od siebie ludzi na gwałt i bunt. Przecinają druty telegraficzne, gromią posterunek policji, mieszkanie starosty, sklepy, uchodzą w las. Tyle od razu wiedziała prasa. Jakaż ocenę — w pierwszym dniu — dała większa część prasy tej niewątpliwiej zbrodni? Angielska rezerwa, lakonizm, ostrzeżenia, żeby nie oświeślać przedwcześnie lub jednostronnie, a już na drugi dzień — liczne próby gloryfikacji! I dlaczego tak? Wyłazi klasowa podszewka. To pan, inżynier, ziemianin... „Lepsze klasy”... A przecie niepodobna wątpić o tem, jak piekielny wrzask powstał by od razu w większości pism mieszczańskich, gdyby ktoś z lewicy, z przywódców proletariatu lub włościanstwa, spróbował takiego wyczynu, marszu na miasto z przecinaniem drutów, rabowaniem karabinów i t. p. Tylko że nikt z lewicy nie uważałby za możliwe uciekać się do takich „czynów”.

Postawa chłopów i robotników w tych niezwykle ciężkich czasach, w okolicznościach nierzadko tragicznych, jest pełna takiego dostojeństwa, że pochylała się przed niem już niejedna głowa przeciwnika ideologii tych walk robotniczych i chłopskich w Polsce. Świadcstwa o tem, jak się zachowali robotnicy krakowscy 23 marca 1936 roku lub — lwowscy — podczas pogrzebu Kozaka, świadectwa przygodnych, niezainteresowanych świadków — urzędników, oficerów, istnieją w Polsce. Kto chciał wiedzieć prawdę, zna ją. A tem nie mniej — jak traktuje prasa wiadomości o strajkach? Z wyłączeniem prasy robotniczej — roi się często w notatkach, korespondencjach, komentarzach, oficjalnych komunikatach — od niegodnych, nieetycznych insynuacji.

Zatarg czy strajk, ruch społeczny czy odruch rozpaczny zbiorowej — poco się nad tem zastanawiać! Przecie łatwiej i prościej, nic się nie orjentując w zjawiskach, nie szanując bezprzykładnych cierpień ludzi bez pracy i bez środków do życia, — opluwać to wszystko wstrętną obelgą „obcych agentur”! W jakimś piśmie czytałam w artykule, że agitator miał „zbyt komunistyczny” nos, „twarz komunistyczną”... Oczywiście



ście — to był dowcip: oznaczało to — żydowską. Jakiego wogóle to wszystko ma sens! — Wstyd, naprawdę gorzki wstyd, gdy się widzi tak lokajskie naśladownictwo niemieckich wzorów!

Brakuje nam jeszcze tylko osobistości, jak ów hitlerowski dygnitarz z Wrocławia, syn żyda, co to zmusił starą matkę do publicznego oświadczenia, że miała syna nie z mężem, lecz z kochankiem — aryjczykiem! Niedaleko nam do tego zdziczenia. Znam już ludzi, którzy potrafili własnej matce na ulicy przyklejać kartkę: „Ta świnią kupuje u żyda”. Był to widocznie też sposób wykonywania jednego z przykazań: czcij ojca swego i matkę swoją.

A to wszystko, broni Boże, nie jest wpływ żadnych „obcych agentur”! To się nazywa „obroną polskiej kultury”, „polskich tradycji”.

Ale tu w tem miejscu właśnie trzeba powiedzieć kategorycznie: Dość tej potwornej blagi! *Skąd monopol na tradycje polskiej kultury u wstecznicstwa, reakcji, u naśladowców hitleryzmu?*

Najszczytniejsze tradycje polskie to tam, gdzie najwybitniejsi Polacy — duma i chluba narodu! — walczyli „za wolność naszą i waszą” — szli walczyć w świat, wszędzie tam, gdzie krwawił się obcy naród w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. Kościuszko, Dąbrowski, Wróblewski, Puławski — tyle innych — ta nasze tradycje.

Więc lepiej nie zaczepiać polskich narodowych, historycznych tradycji! Najdumniejsze tradycje kultury polskiej — to tolerancja religijna, narodowośćowa, to ambicje najlepszych synów Polski — dźwignia kraju na przodujące stanowisko w zagadnieniach społecznych. Wszyscy bohaterzy narodowi, którzy poginęli na szubienicach lub w katordze, *walczyli w imię*

*wyzwolenia nie tylko narodowego, ale i społecznego.* I dodam — żeby postawić już wszystkie kropki nad i — *i w Legionach i w P. O. W. szło się walczyć o Polskę Ludową. I tylko z tego źródła — z jakiego wyszła — mogła powstać ta nowa epoka walki o wyzwolenie Polski... Nie było, poza Polską Partją Socjalistyczną, poza proletariatem i włościactwem, poza młodzieżą radykalną — nie było żadnych sił, o które mógł być oprzeć wtedy tę walkę Józef Piłsudski.* A przeciw — były i takie ugrupowania w Polsce, od których rząd carski otrzymał propozycję uśmierzenia ruchu rewolucyjnego polskiego w r. 1905...

Tradycje nasze są stąd rodem, ze społecznego radykalizmu. Te właśnie, z których możemy być dumni, z których po wieki będzie dumny nasz naród. Bo chyba nikt, nawet przy obecnym poziomie prasy, nie podejmie się gloryfikować tradycji Targowicy, króla Stasia lub zajazdów i korupcji szlacheckich?

Więc niechże wstecznicstwo i wszelka reakcja nie wyciąga rąk po monopol na narodowe tradycje. *Ani pogromów żydowskich, ani prześladowań myśli wyzwolonej — nie masz w naszych tradycjach.*

Jedyna rzetelna droga do oczyszczenia dzisiejszej atmosfery prowadzi przez przyciągnięcie najszerzych warstw ludu — ludzi zdrowych moralnie, mocnych, patriotycznych, *do udziału w organizacji życia zbiorowego w Polsce.*

Powrót do demokracji będzie jednocześnie momentem, w którym rozpocznie się paraliżowanie trujących wpływów hitleryzmu na prasę i myśl polską, rozpocznie się skuteczny wysiłek ku wydzwignięciu naszej prasy i publicystyki na poziom, jakiego możemy i powinniśmy od siebie żądać.

H. Krahelska.

## Z DNIA NA DZIEŃ

### ICH „NARODOWOŚĆ”.

Czytając pisma „bogoojczyzniane” niepodobna oprzeć się wrażeniu, że cała treść ich ideologii wyraża się w nienawiści i potępieniu wszystkiego, co sięga poza obręb miejscowego, zapleśniałego zaścianka. Każdą myśl, każdą formę życia uważają one za „napiętnowaną” z chwilą, gdy uda się im przykleić na niej świadectwo obcego pochodzenia. — Zasada wolności i równości obywatelskiej? Precz z nią! to — wymysł rewolucji francuskiej. Parlamentaryzm? — to szkoła masonerii. Myśl wolna i szkoła świecka? to — forpocztą bolszewików. Socjalizm? — to agentura żydowska. Demokracja? to — Kiereńszczyzna. Cywilne prawo małżeńskie to — masoneria plus żydostwo. Reforma rolna? to — intryga żydowska plus komunizm. Przed wojną światową — przypomnijmy — intryga żydowska — wedle endecków była także... niepodległość Polski).

Serce endeckie, jeśli pominąć jego zakątek, w którym płonie święty ogień dla Hitlera, całe wypełnione jest mrokiem i śliną.

### ICH BOŻYSZCZE.

Francja była niegdyś bożyszczem en-decji i konserwy. Ale była to Francja plutokratów i dewotów, wsteczników i lichwiarzy. Francja dzisiejsza, Francja demokracji pracowniczej, walczącej o swe prawa, przestała cieszyć się sympatią naszych „frankofilów”. Oni żyli się z Francją, której nawykli wystugiwać się i brać za swe lokajstwo napiwki. Francja, z którą Polska mogłaby iść razem, współwalczyć i współpracować, będzie dla nich coraz bardziej niezrozumiała i obca.

### ICH STYL.

„Prosto z Mostu” — tygodnik p. Piaseckiego — jest pismem, które ma sarmacki tytuł, sarmacki styl, a nade wszystko sarmacki stosunek... do zagranicy, zwłaszcza do Francji. Naród francuski, odkąd na czele jego stanął rząd ludowy, stracił dla p. Piaseckiego wszelki powab istnienia. Żydo-komuna i — basta! Nie przeszkadza to jednak zabiegliwemu a bezceremonjalnemu redaktorowi łupić całymi garściami z francuskiej „Marianne” rysunkowe i literackie

pomysły, („Le monde comme il va”) przenosząc je, jako zarekwirowaną zdobycz, na łamy swego czasopisma. Co prawda, wzory paryskie, w reprodukcji p. Piaseckiego, wyglądają tak, jak złom Partenonu odbity w gnojówce. Ale cóż? Nie szkodzi. Zyskujemy przynajmniej pyszny okaz tego, na czym polega „styl” tych conquistadorów: naprzód bliźniego oszkalować, a potem z jego domu wynieść, co można i... zatrzeć ślady za sobą.

### BRAWO, MINKIEWICZ!

Wśród zalewającej całą prasę polską powodzi sprawozdań z „dni olimpijskich” w Berlinie wyróżnia się zaszczytnie prosta, lecz ciekawa relacja Janusza Minkiewicza, zamieszczona w „Tygodniku robotnika”.

Olimpiada zgodnie ze swą grecką tradycją bywała dotąd wielką manifestacją na cześć kultury fizycznej. Olimpiada berlińska — stwierdza Minkiewicz — wyrodziła się w bombastyczną manifestację polityczną. Jej postacią centralną stał się Hitler, a miliony swastyk, zwisających ze wszystkich okien Berli-



na, ogłaszają ów związek z hitleryzmem.

Cały Berlin — czytamy w tejże relacji — zasypyany został na okres igrzysk różnojęzycznymi broszurami, prospektami i ulotkami reklamującymi „dobrodziejstwa” Trzeciej Rzeszy.

Pomiędzy temi broszurami udało się dobrym ludziom ulokować dyskretny druczek w języku angielskim, nie różniący się nazewnictwem od innych. Na pierwszych jego stronach znajdują się normalne teksty i przemówienia Goebbelsa. Na dalszych wszakże kartach, gdy dochodzi do omawiania poszczególnych punktów programu olimpijskiego, natrafiamy na taki naprzykład urywek:

„100 metrów — nasi faworyci Amerykanie: Owens, Melcalfe i Peacock. Lekkoatleta niemiecki Hans Mickin nie ma szans wygranej, jako że został skazany za swe przekonania polityczne na dożywotnie więzienie”.

„400 metrów — nasz faworyt Amerykanin Williams. Niemiecki Willi Meyer nie może wziąć udziału w tym biegu, gdyż został skazany za swe idee na 13 lat więzienia”.

W innym miejscu, przy mapce Niemiec, figuruje małe wyjaśnienie:

„Przejeżdżając przez granicę niemiecką w Bentheim, dowiedźcie się, że stamtąd prowadzi linia kolejowa do Papenburga, obozu koncentracyjnego, w którym von Ossietzki, pacyfista, torturowany jest od trzech lat. Stamtąd również można się dostać do Boergermoor i Esterwagen, gdzie budowane są aerodromy, skąd wyruszą w przyszłości śmiertelne rajdy lotnicze przeciw sąsiadom...”

Tak, gdyby goście, którzy przybyli do Niemiec na Olimpiadę, mieli oczy i uszy, a także trochę sumienia, lub odrobinę przezorności, to mogliby zobaczyć tam wiele rzeczy, o których nie mówią głośniki propagandy.

#### ZŁOTE SERCE ST. DUBOIS.

Wszyscy ludzie dobrej woli znają gołębie, złote serce Stanisława Dubois, dzielnego bojownika sprawy robotniczej, niestrudzonego, wieloletniego sprawozdawcy przeglądu prasy w głównym organie P.P.S. Ale nie szkodziłoby, gdyby to złote serce szło w parze z taką choćby miarą oględności, aby nie popadać w sidła pierwszego z brzegu chytrzego maklera reakcji. Niestety, zdarza się to szlachetnemu S-ekowi dość często ku prawdziwemu żalowi jego szczerych przyjaciół.

Ostatnio przepełnił on czarę swej dobroduszości, wystawiając patent na bezinteresownego obrońcę lewicy... komu? Panu Ksaweremu Pruszyńskiemu,

zaciekłemu szermierzowi kruchty i obszarnictwa, piewcy endeckich pielgrzymek częstochowskich, współpracownikowi „I.K.C.” oraz „Czasu” i „Słowa” (wileńskiego), które pragnie, jak wiadomo, Polskę wtłoczyć pod komendę hitleryzmu i pod komendą taką pchnąć do wojny z Unją Sowiecką.

I cóż tak bardzo zjednało tow. S-ekę w postawie krzykliwego klerykała i reakcjonisty? Oto jego rzekomo szczytne słowa, wypowiedziane w „Czasie” w obronie jednego z prelegentów lewicowej akademii lwowskiej, Bronisława Dąbrowskiego, zdolnego i obiecującego reżysera teatrów lwowskich, który na żądanie tamtejszego magistratu otrzymał wymówienie pracy. Represja, która spadła na dzielnego artystę, jako odwet za głoszone przezeń przekonania, jest istotnie fenomenem, który spotkać się powinien z protestem opinii, ale... zobaczmy w imię jakiej opinii zabiera głos p. Pruszyński:

„Należeliśmy — powiada on — do pierwszych, którzy wobec zjazdu lwowskiego zareagowali ostro. Nie uczyniliśmy tego jednak w stosunku do Zegadłowicza, autora okrzyku o czerwonej Warszawie, ani w stosunku do Dembińskiego, autora okrzyku, oddającego Lwów Ukrainie, ani żadnego z tych ludzi, którzy mają dziś jedno oblicze ideowe...”

Zrozumiał jest ten chwyt reakcyjnego, młodego wprawdzie, lecz jakże szczwanego wygi. On, istotnie, nie „reagował ostro” wobec Dembińskich, Dąbrowskich, Jampolskich i Zegadłowiczów; nie tknął ani jednym zębem Andrzeja Struga, który był honorowym prezesem zjazdu lwowskiego. On nawet podnosił ich „ideowe oblicze”, ich „godną szacunku” wierność zasadom. On wiedział, że to aż nadto wystarczy, aby zwrócić czyją należy uwagę na tak „pięknie i szlachetnie” zareklamowaną ideowość oblicza. Niedarmo przecież p. Pruszyński jest współpracownikiem p. Maćkiewicza, redaktora „Słowa”. Współpraca, jak wiadomo, polega na podziale ról. Gdy więc p. Pruszyński podnosi czyjeś „ideowe oblicze” w związku z kierunkiem lewicowo-radikalnym, jego wileński szef przekłada szybko tę ideowość na terminy inkwizycyjne, wskazuje ideowców urzędowi śledczym i wielkim krzykiem woła o akt oskarżenia. Cóż, że oskarżenie okazuje się fałszywe, a wyrok, ostatecznie, będzie uniewinniający? Nim się sprawa wyjaśni, ideowcy „godni szacunku” zasiądą na ławie podsądnych, a ich czasopisma tymczasem ulegną ruinie. Tej sławetnej metody, polegającej na sławetnym podziale ról doświad-

czył na sobie zarówno p. Dembiński, jak jego koledzy. Chwalebna na tem polu działalność p. Maćkiewicza, uwieńczona sowitemi owocami, dobitnie scharakteryzowała już niezależną część obozu rządowego: czyżby nie wiedziało o niej tylko gołębie serce referenta prasy w „Robotniku”?

Nie zamierzamy wszczynać tutaj polemiki z pisarzami, którzy swe niewątpliwie rzutki pióra poświęcili interesom reakcji. Pełnią to, do czego się zobowiązali. Kto podjął się w Polsce obrony magnaterji, obszarnictwa, klerikalizmu i starej, zbutwiałej szlachetczyzny, ten nie może być zbyt wybredny w doborze swego oręcza.

Ale, do kroćset diabłów, spytajmy, co w tej drużynie wstecznictwa robi sprawozdawca „Robotnika”? Czy i on swym czystym głosem chce „mitsingen” w zespole polskich zdeklarowanych hitlerowców? Czy, naprawdę, nie wie, kim jest Maćkiewicz? Do czego dąży Jan Bobrzyński i Studnicki wespół z ekipą braci Pruszyńskich i Bocheńskich? Czy sądzi, że publicysta polski, zasługujący na pochwałę „Robotnika” i uznanie proletariatu polskiego, obrałby sobie, jak Pruszyński, ambonę kaznodziejstwa na takiej piramidzie gnoju, jak krakowskie wydawnictwo „Tajnego Detektywa”? Że, w walce z wywłaszczeniem obszarników, używałby argumentów takich, jakimi Pruszyński posługuje się w „Czasie” i w „Słowie”, chowając się za sukmanę Witosą, aby z tego przywódcy chłopów raz jeszcze uczynić fałszywy szaniec obszarnictwa i w ten sposób zohydzić go, raz na zawsze, w oczach cierpiącego ludu?

Towarzyszu Dubois, nie bądźcie dzieckiem! Swe złote serce zachowajcie dla proletariatu. Wygom i kłusownikom obszarnictwa umiejcie przeciwstawić mądry gniew i dojrzałą pogardę!

W końcu jeszcze jedna uwaga, ostateczna, lecz nie najmniej ważna.

Dubois, przepisując w swym przeglądzie prasy na łamach „Robotnika” i przepisując bez zastrzeżeń lub sprostowań, owszem z dobrą wiarą słowa Pruszyńskiego o Dembińskim, jako „autorze okrzyku, oddającego Lwów Ukraincom”, mimowoli i, oczywiście, wbrew swym niepodjętym intencjom, poszedł na rękę przewrotnej interpretacji, którą wystąpieniu Dembińskiego narzuciła endecja i konserwa, ale której przyjąć nie może ani socjalista, ani demokrat. Bo tylko podżegawcza intryga twierdzi, że na zjeździe lwowskim znalazł się ktoś, kto „oddawał Lwów Ukraincom”. Gdyby tak było, to, dowiedziawszy się o tem, Andrzej Strug, o którego uczuciach narodowych nikt chyba nie wątpi, zaprotestowałby pu-



blśnie przeciw honorowej prezesurze, którą mu zjazd lwowski zaocznie ofiarował. W rzeczywistości na zjeździe tym podkreślono jedynie, że Lwów, tak samo zresztą, jak Wilno, nie są zwyczajnymi miastami wojewódzkimi, lecz ogniskami życia gospodarczego, kulturalnego i politycznego dużych obszarów, są ośrodkami stołecznymi dla Ukraińców i Białorusinów, mieszkających w granicach Rzeczypospolitej. W tym duchu mówił Dembiński, i w tym też duchu zrozumieli treść jego przemówienia słuchacze. Reszta była pianą wściekłości, którą zakipiały jadowite języki na wieść, że grono pisarzy, walczących przeciw faszyzmowi, spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem inteligencji elity Lwowa.

#### O „EPOCE”.

Przytaczamy poniżej małą wiązaną kwiatków, wyrwanych z sporej grzędy, poświęconej „Epoce”. *Ilustrowany Kurjer Codzienny* powiada, że „wychodzi w Warszawie czasopismo *Epoka*, organ liberałów lewicowych, popierających od wypadku do wypadku obecny reżym, choć mówi się także, że tam coś nie coś i masoneria ma coś do powiedzenia”:

*Głos Narodu*: „Komunizujący, czy też (!) masonscy pisarze mają już teraz swoje własne pismo”. *Prosto z Mostu* uważa znów *Epokę* za organ „sanacyjno-wolnomularski”. „*Głos*” poznański oświadcza, że *Epoka* to „czasopismo wolnomysłicieli, z pod znaku cyrkla i kielni”. *Polski Wschód* wzmacnia tę opinię, prezentując „*Epokę*”, jako oficjalny organ

„wojującej masonerii”. Również *Mały Dziennik Niepokalanów* widzi w *Epoce* organ „Dzieci Wdowy”. Zaś *Mysł Polska*, podając wykaz „czerwonych czasopism” wychodzących w Polsce, wymieniła *Epokę* jako „stojącą na usługach Kominternu” (!!).

Oto mozaika sądów o *Epoce*, sporządzona jedynie z wycinków niektórych tylko pism. Gdyby ktoś zamierzył uporządkować je według wymagań logiki formalnej, stanąłby wobec zadania kwadratury koła, musiałby pogodzić sanację z komunizmem, obóz rządowy z kointernem, masonerję z komunizmem, „dzieci wdowy” z dziadami liberalizmu itd. bez końca i w kółko. Czegoż tu bardziej doszukiwać się: prostackiej złośliwości czy myślowego upośledzenia?

## DWA PAŃSTWA — JEDEN DRAMAT

W XVIII w. filozofia historii sprowadziła wszystkie wydarzenia dziejowe do świadomej działalności jednostek. Mabył np. dowodził, że Minas wymyślił sobie i wcielił w życie cały ustrój społeczno-polityczny, prawa i obyczaje kreteńczyków. Twierdził również, że jeśli Spartanie gardzili bogactwem, to zawdzięczali to wyłącznie Likurgowi, a jeśli potem zerwali z tą zasadą, to winnym tego był Lisander.

Przeciwko takim poglądom wystąpili przed stuleciem historycy francuscy doby Restauracji: Guizot, Mignet, Augustyn Thierry, a w czasach późniejszych Toqueville, Monod, Seignobos, Anglik Rogers, Niemiec Lamprecht, wreszcie zwolennicy historycznego materializmu, — Marks, Engels, Kautsky, Plechanow, dowodząc, że bieg historii wytknięty jest nie tylko przez wolę czołowych jednostek, przez świadome i celowe postępowanie kierowników nawy państwowej, ale że wydarzenia następują pod wpływem jakiejś utajonej konieczności, działającej zgodnie z pewnymi niezmiennymi prawami dziejowymi.

Te nowe poglądy na historję, jako na proces, podlegający pewnym określonym prawom dziejowym, zostały poraz pierwszy konsekwentnie zastosowane przez francuskich badaczy dziejów Wielkiej Rewolucji, np. Migneta, a w naszych czasach Aularda, Mathiera. Według nich przewodnicy narodu mogą zmieniać indywidualną fizjognomję wydarzeń i niektóre ich skutki, ale nie mogą zmienić ogólnego kierunku dziejów, uwarunkowanego potężniejszymi siłami: geograficznymi, gospodarczymi i t. d.

Gdy ludziom zdaje się, że dane stosunki społeczne powstały z ich wolnej woli, to mamy tutaj do czynienia z odwieczną iluzją, dzięki której widzą oni siebie jako przyczynę wydarzeń i układów, a nie zdają sobie sprawy, że sami są rezultatem pewnych przyczyn. Na gruncie określonych stosunków powstaje określona „psychika”, a na gruncie określonej „psychiki” powstają te same lub podobne kierunki myśli filozoficznej, prawnej czy artystycznej, powstaje ta sama koncepcja ustrojowa czy inna prawno-publiczna.

Zdaniem nawet tak potężnej indywidualności jak Bismarck, wypadki tworzą się same przez się,

a my możemy jedynie zabezpieczać to, co się już przygotowuje przez nie.

Stąd główny trzon rozwoju dziejowego może być sprowadzony do pewnych stałych praw dziejowych i poddany ścisłej analizie.

Ścisłość tej tezy może być jeszcze raz potwierdzona przez zdumiewającą analogię w rozwoju dziejów wewnętrznych odrodzonych Polski i Jugosławii po wojnie światowej.

\*\*

Królestwo SHS, powstałe w 1918 r., objęło terytorjum, odpowiadające  $\frac{2}{3}$  terytorjum Polski. W skład jego weszły dwa królestwa niezawisłe (Serbja i Czarnogórze), podboje w Macedonii z 1912/13 r. i 1918 oraz zabór austriacko-węgierski (Bośnia i Hercegowina, Chorwacja i Sławonia, Dalmacja i Kraina, część Styrii i Karyntji, oraz część 6 komitatów węgierskich), tak samo jak Polska powstała z trzech zwróconych nam częściowo zaborów: rosyjskiego, austriackiego i pruskiego.

Pod względem struktury gospodarczej obydwie państwa przedstawiają dużą analogię: w Jugosławii 80%, w Polsce 72% ludności zawodowo czynnej żyje z rolnictwa.

Skład narodowościowy obu państw jest dość różnorodny, tak że stoją one na pograniczu między państwem narodowym a narodowościowym. W Jugosławii na 14,3 miliona ludności przypada przeszło milion Słowenów, używających odrębnego języka, tak jak słowacki odrębny jest od czeskiego,  $6\frac{1}{2}$  miliona Serbów i  $3\frac{1}{2}$  miliona Chorwatów, mających wspólny język, ale odrębne wyznania (prawosławne i katolickie), odrębne alfabety (cyrylicę i łaciński) i odrębne kultury (grecka i łacińska), wreszcie, przy nader niejednolitej narodowości panującej, przeszło 3 miliony, czyli 20 parę procent, mniejszości narodowych: przeszło milion Bułgarów, głównie w Macedonii, po 500 do 600 tysięcy Niemców, Węgrów i Albańczyków, przeszło 200.000 Rumunów, sporo Turków, 70.000 Żydów. U nas na 33 miliony ludności przypada, według statystyki urzędowej, 69% Polaków i 31% mniejszości narodowych. W rzeczywistości ten odsetek mniejszości należy podnieść do 38%



(Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie około 23%, Żydzi 10,5%, Niemcy 4%, Litwini 0,3%, Czesi 0,2%). Przy bardziej zwartej i jednolitej narodowości panującej mamy o 75% więcej mniejszości narodowych. A jeśli Słowianów zaliczymy w Jugosławii do mniejszości narodowych, to odsetek tych mniejszości podniesie się tam do 32%.

Podobnie niejednorodny jest skład wyznaniowy w obydwu państwach: w Jugosławii jest 49% prawosławnych, 38% katolików, 11% muzułmanów, 1/2% żydów; w Polsce rz. katolików 63,8%, unitów 11,2%, prawosławnych 10,5%, żydów 10,5%, ewangelików 3,7%.

W tych zbliżonych do siebie warunkach zrozumiała jest powolność i trudność konsolidacji tu i tam. Do tego dochodzi różniczkowanie partyjne, walka lewicy z prawicą, od nacjonalistów skrajnych i niwelatorów począwszy a kończąc na czynnikach komunistycznych. Wreszcie dochodzą ambicje czynników wojskowych, uważających się za uzdolnionych do każdej funkcji a wymagających od państwa rekompensaty za swe istotne czy urojone czyny militarne, z zupełnym negligowaniem prac, wysiłków i zasług ludności cywilnej.

Na tem podłożu rozwijał się ustrój państwowy.

Konstytucja jugosłowiańska (t. zw. vidovdanski ustav) została uchwalona 28.VI. 1921 r. (t. zw. Vidovdan) w rocznicę bitwy na Kosowym polu. Konstytucja ta, wzorowana na serbskiej z 1903 r., dała monarchji ustrój demokratyczno-parlamentarny. Podobnie u nas przyjęto 17.III. 1921 r. konstytucję, opartą na 6-przymiotnikowym prawie wyborczem. Zapowiedziany „szeroki samorząd terytorjalny” nie wszedł w życie, z wyjątkiem Śląska.

Stworzenie jednak porozumienia między stronnictwami politycznymi w Skupczynie okazało się niemożliwe, nietylko z powodu znacznego odsetka mniejszości narodowych, ile z powodu odrębności religijnej (prawosławni i katolicy) i kulturalnej (kultura grecka i łacińska) między panującymi narodowościami Serbów i Chorwatów. Walka partyjna doprowadziła do zamordowania w parlamencie przywódcy chłopów chorwackich Stefana Radicza przez czarnogórskiego Serba Raczicza 20.VI. 1928 r. Radicz zwalczał serbski centralizm Paszicza, dążył do republiki i do szerokiej autonomji dla Chorwacji.

Tak samo w Polsce zaznaczał się w sejmie przerost partyjnictwa (czemu towarzyszył ostry ton polemik prasowych) i brak konsolidacji, nietylko między większością panującą a mniejszościami narodowościami, ale przede wszystkim w łonie samej polskiej większości rządzącej z powodu rozdrobnienia partyjnego (konserwatyści, chrześcijańscy demokraci, „narodowi demokraci, rozdrobnione stronnictwa chłopskie, NPR, PPS, komuniści). Towarzyszył temu przerost sejmokracji, której poszczególni członkowie ingerowali do administracji, zmiany gabinetów następowały z szybkością zmiany obrazów w kaleidoskopie, a przy każdym tworzeniu gabinetu odbywał się przetarg między stronnictwami o teki. Stąd gabinetowi brakowało konsolidacji i każde posunięcie było wypadkową wewnętrznej walki w gabinecie, wreszcie w każdym resorcie panowała odmienna polityka.

Wtedy król Aleksander I zniósł 6.I. 1929 r. konstytucję z 1921 r. w imię konsolidacji wewnętrznej, unifikacji ustawodawstwa i polityki, uzdrowienia ży-

cia gospodarczego i sanacji moralności publicznej, łącznie z hasłem wychowania państwowego (są to jakby echa takiej samej walki Góry z Żyrondą i kordeljerami o te same hasła unifikacji i konsolidacji w Wielkiej Rewolucji Francuskiej). W imię tej unifikacji zmieniono 3.X. 1929 r. nazwę Królestwa SHS na Królestwo Jugosławii. Przeprowadzono nowy podział administracyjny, zacierający granice dawnych dzielnic i narzucono nową ordynację wyborczą, wprowadzającą właściwie zamaskowaną, dyktaturę króla Aleksandra. Konstytucja z 3.IX. 1931 r. wprowadziła na miejsce dotychczasowej demokratycznej jednoizbowości system dwuizbowy, złożony ze skupczyny i nowowprowadzonego senatu. Posłów do skupczyny wybiera się na podstawie prawa wyborczego *jawnego* (do tego dodano dla zamaskowania słowo bez znaczenia: „wolnego”), równego, powszechnego i bezpośredniego. Jawność wyborów przekreśla, oczywiście, ich wolność i uzależnia wybór posłów od rządu. Tembardziej uzależniony został senat, w połowie mianowany przez króla a w połowie wybierany przez wąskie i nieliczne gremium posłów sejmowych, burmistrzów i członków rad wojewódzkich. W dodatku wykonanie ustawy uzależniono od sankcji królewskiej. Nastąpił zdecydowany przerost władzy wykonawczej nad prawodawczą.

Nie potrzeba dodawać, że jest to zupełna analogja z naszym przewrotem z maja 1926 r. i z naszą nową konstytucją i nową ordynacją wyborczą Caira — Makowskiego — Sławka z ostatnich lat.

Na miejscu rozwiązanych stronnictw politycznych powstało w Jugosławii, analogiczne do naszego BB, nowe stronnictwo unifikujące p. n. „Jugoslawenska Nacionalna Stranka”, do którego przyłączyło się dla kariery czy z przekonania wiele osobistości z dawnych partyj politycznych. Mimo to opozycja w jugosłowiańskim społeczeństwie pozostała w dawnej sile.

Władzę administracyjną reprezentują w Jugosławii: premier z ministrami i wojewodowie (banowie), których wraz z prefektem Belgradu jest 10, z zakresem władzy odpowiadającym generał-gubernatorom rosyjskim.

Po zabójstwie króla Aleksandra przez Chorwatów 9.X. 1934 r. ustanowiona została regencja pod przewodem brata stryckiego zmarłego króla, księcia Pawła. Regent w październiku 1934 r. powierzył rządzący Jewticzowi. Pomimo jednak specjalnie skonstruowanej platformy wyborczej zabiegi Jewticza o skupienie w skupczynie czynników sanacyjnych nie dały wyników i wybory, przeprowadzone 5.V. 1935 r., nie załamały przypływu do skupczyny silnej opozycji, złożonej z Chorwatów dra Maczka, serbskich demokratów Dawidowicza, rolników Jowanowicza i muzułmanów dra Spaho.

W czerwcu 1935 r. Jewticza zastąpił b. m. skarbu Stojadinowicz, który, analogicznie z obecnymi tendencjami u nas, rozszerzył podstawę polityczną rządu, pozyskując część serbskich radykałów, słoweńskie stronnictwo ludowe, partję muzułmańską i narodową partję chłopską Dżordżewicza. Równocześnie Stojadinowicz podjął organizowanie na miejsce rozbitej „Jugoslovenskiej Nacionalnej Stranki” nowego stronnictwa konsolidacyjnego pod nazwą „Jugosłowiańskie Zjednoczenie Radykalne”.

Tak samo u nas po likwidacji BB pułkownika Sławka, pułkownik Adam Koc zabiega o utworze-



nie nowej partii rządowej na rozszerzonych podstawach.

Czyż może być dalej posunięta analogia rozwoju dziejów wewnętrznych dwóch państw, tak stosunkowo od siebie odległych, na dystansie kilkunastu lat? Marszałek Piłsudski i król Aleksander, zupełnie niezależnie od siebie, poszli podobnymi drogami, jeśli chodzi o stosunek ich do rozwoju ustroju państwowego i więzi społecznej. Obydwaj działali pod wpływem analogicznych konieczności dziejowych, przyczem poszczególne momenty odbytych etapów występują wcześniej raz tu, u nas, a drugi raz tam, w odległej Jugosławii.

Prof. Włodzimierz Dzwonkowski.

## NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

K. H. ROSTWOROWSKI i S-ka

Niedźwiedzia, zaiste, przysługę wyświadczył ktoś autorowi „Judasza” i członkowi Polskiej Akademii Literatury, K. H. Rostworowskiemu, puszczając o nim w „Gońcu” endeckim wiadomość, jakoby miał on zwrócić się do prezydium Polskiej Akademii Literackiej z groźną notą wojenną. Nota owa, zredagowana w tonie dyktatorskim, zawierać miała, jak insynuował „Gońiec”, żądanie zastosowania daleko idących represyj w stosunku do innego członka Akademii, Wincentego Rzymowskiego, za to, że tenże udał się (nota bene: w charakterze zwykłego gościa) na zbiorowy odczyt pisarzy antyfaszystowskich we Lwowie.

Rachuba tych, którzy wysunęli nazwisko krakowskiego poety, jako taran, mający uderzyć w wolność słowa publicznego w Polsce, była o tyle przejrzysta, o ile niewybredna. Chodziło o skoncentrowanie odpowiedzialności na osobie niemiłego dla reakcji człowieka, którego cały udział w zjeździe lwowskim sprowadził się do roli słuchacza, zajmującego miejsce wśród tysiąca innych słuchaczy. Gdyby sam fakt uczestnictwa w gronie słuchaczy odczytowych udało się zakwalifikować, jako przestępstwo, cóżby to była za zdobycz kapitalna dla konserwatystów i endeków, którzy, jak szakale, wyją o coraz silniejsze zwięzanie kręgu legalności w życiu publicznym.

Gdyby za pójście na legalny odczyt niemiły dla ucha obszarników i zakrystjanów, traciło się krzesło w Akademii, to łatwo się domysleć, jakie spadłyby kwiaty na głowę tych, którzy odczyty zorganizowali i wygłosili!

Na szczęście, Polska, mimo różnych tendencji, które nią szarpia, nie jest ani państwem monopartii, jak Sowiety, ani sułtanatem Mussoliniego, ani kalifatem Hitlera. Tradycja zaś Stasziców, Mochnackich, Lelewelów, Słowackich i Żeromskich dopomoże nam do tego, żeby kraj nasz nigdy kalifatem się nie stał, choćby kalifem miał być sam hrabia Rostworowski.

Konsekwencje spaliły na panewce, ale intencje pozostały. I pozostała owa niedźwiedzia przysługa, którą wyświadczonego akademikowi Rostworowskiemu, kładąc mu do rąk chorągiew inkwizytora i przypominając w ten sposób, że autor „Judasza” młóte po raz pierwszy pod chorągwią tą staje do niechlubnej walki.

Istotnie, w roku zeszłym minęło lat dziesięć, odkąd ta właśnie inkwizytorska chorągiew, rozwinięta w zapalczywych rękach Karola Huberta, stała się po-

nurym i złowrogim całunem, który omroczył i zatrut ostatnie miesiące życia Stefana Żeromskiego. On to bowiem, Karol Hubert hrabia Rostworowski, on, który dziś zasiada w Akademii Literatury, wypiaślowanej przez Żeromskiego, jakkolwiek powołanej do życia przez ludzi już przeważnie obcych jego wielkiemu sercu, nie cofnął się przed rozpętaniem napastliwej, jadowitej, jezuickiej, iście „ciemnogrodzkiej” furji ataków właśnie na Żeromskiego za jego „Przedwiośnie”. Jakichże zbrodni, jakich grzechów ten mściwy jezuita nie doszukiwał się w powieści, która była natchnionem dziełem artysty, testamentem wielkiego obywatela, ostatnią przestrogą patrioty dla kół, rządzących Polską, przed zbroczeniem w bagno bigoterji i szlachetczyzny!... „*Za lejsze grzechy — wołał, potrząsając kropidłem inkwizytor krakowski — Francja odmówiła Zoli miejsca w akademii i zdegradowała Margueritta, odbierając mu krzyż Legji Honorowej*”... „*Zola przekreślił oficjalny francuski smak, Margueritte przekreślił oficjalną francuską przyzwoitość, a Żeromski wykreślił oficjalną Polskę z listy kulturalnych społeczeństw*.” („Głos Narodu, Kraków, 1925, 26 — VI).

Ataki na „Przedwiośnie” stopniowo przeistoczyły się w szarganie całej twórczości Żeromskiego, w jakąś dziką orgję wandalizmu, który kopytami jął trącać i roznosić najpiękniejsze karty współczesnej prozy polskiej, najtkliwsze i najtragiczniejsze wyznania duszy polskiej. Czego nie dopowiadał ochryply głos głównego inkwizytora, to podchwytywali jego wikarjusze, wyrzuci już z wszelkich powściągnięć umiaru i bryzgający błotem, jako jedyną zawartością swego arsenału. Franciszek Ksawery Pusłowski, Mendrys, Ligocki — oto nazwiska ministrantów, którzy służyli głównemu arcykapłanowi podczas odprawianej przez niego mszy nieczłowieczego jadu i nieludzkiej, zaprawdę, nienawiści.

„*Głupcy! — wołał z pianą na ustach Pusłowski — myślicie, że przetłumaczenie i wystawienie zagranicą lichej „Przepióreczki” nie będzie poniżeniem i kompromitacją literatury polskiej!*...” „*Powąchajcie cuchnącą kloakę „Przedwiośnia.*...” („Gł. Narodu”, 1925, 7 — IX).

Niemniej od adherentów i ministrantów, których zgromadził przy swoim boku pobożny Karol Hubert, zasługuje na uwagę i sama trybuna prasowa, którą zamienił w baterję, mającą rozgromić dorobek pisarza Żeromskiego. Trybuna tą był krakowski „Głos Narodu”, którego oblicze ideowe i polityczne było Rostworowskiemu najwidoczniej niemniej drogie, niż oblicze artystyczne - literackie, gdyż chętnie pisywał on w tym dzienniku artykuły wstępne, programowe. Jak program ten naówczas się kształtował, osądzimy najlepiej, przytaczając dwa artykuły zasadnicze, charakteryzujące stanowisko zespołu redakcyjnego „Głosu Narodu” wobec walki, jaką toczył w owym czasie z endecją samotnik Sulejówka.

Ktoś z przyjaciół Piłsudskiego ośmielił się wspomnieć coś o popularności i o zasługach wojennych b. naczelnika państwa. Na to „Głos Narodu” odpalił artykułem p. n. „*Hańbiące zapewnienia*” (21 — II — 1925):

„*W roku 1920 armje nasze cofały się wśród ciągłych klęsk od Berezyny i Dniepru nad Wisłę. Rzekomy geniusz i popularność Piłsudskiego nie wstrzymały tego sromotnego odwrotu, nie natchnęły nas zapałem i wolą zwycięstwa. Człon-*



*kanie Rady Obrony Państwa przerażeni byli nie tylko stanem armji, ale i upadkiem ducha i bezradności pana Piłsudskiego. Dopiero powstanie rządu narodowego, werbunek do armji ochotniczej, optymizm Weyganda i nowego szefa sztabu Rozwadowskiego wlały w naród zapal i wolę zwycięstwa. O panu Piłsudskim w tych strasznych dniach przed 17 sierpnia poprostu nie myślano".*

A oto drugi, niemniej znamienity artykuł w organie Karola Huberta Rostworowskiego p. n. „Poglądy niewspółczesnego człowieka”, poświęcony również Piłsudskiemu z powodu uwag tegoż na temat opracowywanego podówczas projektu organizacji władz wojсковych:

*„...Jak widzimy, pan Piłsudski jest człowiekiem niewspółczesnym. Jego poglądy nie mieszczą się w ramach żadnej konstytucji demokratycznej. Są one mętne, niesympatyczne, a na czoło ich wybija się jakaś mongolsko - rosyjska idea posiadania pełnej władzy bez odpowiedzialności przed nikim. A może to nie idea, tylko manja wielkości”.*

Ale dajmy pokój cytatom, które mogłyby nas zaprowadzić zbyt daleko. To, cośmy przytoczyli wyżej, niechaj wystarczy wszystkim, którzyby chcieli hrabiego Rostworowskiego i jego adherentów postawić na straży lojalności i państwowego prestige'u P. A. L. Ci nowi opiekunowie i strażnicy Akademji jakże ciekawi są sami przez się dla analityka i psychologa świętej obłudy polskiej! Wszak oni to dotąd niezmiennie miesza! Akademię Literatury z błotem, zdzierając z niej wszystkie szaty godności. Oni to na łamach swych pism witali owacyjnie i na tarczach podnosili, jak bohaterów, wszystkich, którzy się demonstracyjnie zrzekli wawrzynów i krzesel Akademji. Ale wystarczyło, że znalazł się ktoś, kto swego miejsca w tej instytucji nie uważa za równoznaczne z etykietą konformizmu, a natychmiast tę samą instytucję, którą uprzednio się sponiewierało i wyszydziło, jako rozdawczynię „listków bobkowych”, zwraca się przeciwko niemu, jako ciężkie działo represji i jako obrozę tyranji.

Jakże ubogi musi być duch reakcji, skoro, chcąc walczyć, musi przeczyć sam sobie!

A. Grot.

## DZIEJE JEDNEGO POLICZKA

### EPIZOD Z ŻYCIA GEN. ORLICZ DRESZERA

Już przed wojną działalność gen. Orlicz-Dreszera pełna jest chlubnych kart walki dla sprawy polskiej. Gdy w 1905 roku wybucha na terenie b. zaboru rosyjskiego strajk szkolny, młody, szesnastoletni Gustaw Dreszer, uczeń szkoły częstochowskiej, staje w pierwszych szeregach walczących o szkołę polską. Od tego czasu jest on niezmordowanym działaczem niepodległościowym, wytrwale i konsekwentnie broniącym hasła bojkotu szkół rosyjskich, jako jeden z przywódców działającej wówczas w Kongresówce i nader czynnej Organizacji Młodzieży Narodowej.

Owczesna Młodzież Narodowa nie była podobna do dzisiejszej. Walczyła ona z zapałem o polskość młodego pokolenia, utrzymując przed wojną światową kontakt z ruchem strzeleckim, rozwijającym się w Małopolsce. Brała udział w pracach „Strzelca”, a potem „Wolnego Strzelca” i „Drużyn Polowych”.

Nic dziwnego, iż działalność ta nie mogła uzyskać aprobaty tych, którzy pragnęli posiadać monopol na hasła „narodowe”. Toteż Organizacja Młodzieży Narodowej, oraz głoszące jej zasady pismo „Dla Polski” zwalczane były stale przez menderów Narodowej Demokracji. Roman Dmowski, na łamach „Gazety Warszawskiej” zasady te uznaje za objaw... „patologii politycznej”, a Zygmunt Balicki w „Przeglądzie Narodowym” twierdzi, iż przekonania Organizacji Młodzieży Narodowej w sprawach niepodległościowych i bojkotu szkolnego mają podłoże... „żydowskie”.

W końcu czerwca 1911 r. „Kurjer Poznański” zamieścił krótką wiadomość o uchwale Zjazdu Stronnictwa Narodowo - Demokratycznego, wzywającej do zniesienia bojkotu szkół rosyjskich.

Uchwała ta wywołała w całej Kongresówce niebywałe wzburzenie.

Było rzeczą powszechnie wiadomą, że inspiratorem uchwały endeckiej w sprawie zniesienia bojkotu szkół rosyjskich był Roman Dmowski.

Reakcja polskiej młodzieży niepodległościowej przeciwko haniebnaj uchwale Endecji była natychmiastowa. Już na drugi dzień po tej uchwale zostały wydane przez młodzież Zarzewiacką, Organizację Młodzieży Narodowej Szkół Wyższych, sekcję Koronną Org. Mł. Nar. Szkół Średnich i inne ugrupowania młodzieży, odpowiednie odezwy, protestujące przeciwko wystąpieniu Narodowej Demokracji.

Na terenie Warszawy, dokąd zjechała się własnie młodzież niepodległościowa, wzburzenie doszło do zenitu. Młodzież Zarzewiacka i Organizacja Młodzieży Narodowej postanowiły zareagować. Wykonanie uchwały w tej mierze przyjęli na siebie następujący akademicy: z ramienia O. M. N. — Gustaw Dreszer, Zdzisław Lechnicki, Wiesław Czerwiński (obecny dyrektor Ligi Morskiej i Kolonjalnej w Warszawie), ś. p. Edmund Kłopotowski, Walery Śpiewak i ś. p. Tadeusz Szymański, zaś z ramienia „Zarzewia” — Antoni Ostrowski, Stefan Świętorzecki i inni.

Po zebraniu odpowiednich informacji ustalono plan działania. W pobliżu redakcji „Gazety Warszawskiej” dyżurował jeden z akademików, oczekując na Dmowskiego, podczas, gdy inni dwaj — po drugiej stronie ulicy — czuwali, aby być świadkami zajścia.

Zajście miało miejsce w dniu 30 czerwca 1911 r., w południe, na ulicy Boduena, w pobliżu kawiarni Lardellego (obecnie mieści się tam kawiarnia Forakiewiczza). Do zmierzającego w stronę redakcji „Gazety Warszawskiej”, Romana Dmowskiego, zbliżył się akademik Antoni Ostrowski, wręczywszy mu swój bilet wizytowy z adresem, znieważył go czynnie.

Świadkami tego wydarzenia byli m. in. Walerjan Śpiewak i Kazimierz Łukoski.

Dalszy przebieg zdarzeń przybrał obrót nieoczekiwany. Dmowski zataił fakt doręczenia mu biletu wizytowego i zamieścił na łamach „Gazety Warszawskiej” fałszywy opis zajścia p. t. „List otwarty do nieświadomych”. Wślad za tem ukazały się w „Gazecie



Warszawskiej" dalsze artykuły, jak „Historja nędznej napaści" i „Wywiad u p. Dmowskiego" i in., insynuujące iż zajście było zwykłą burdą uliczną wywołaną przez nieznanego osobnika. Sytuację utrudniał fakt, iż właściwe tło zajścia musiało być ukryte przed władzami rosyjskimi. Toteż ogół prasy warszawskiej, nie orientując się w sytuacji, poszedł za głosem „Gazety Warszawskiej", potępiając sprawców zajścia. Ofiarą tej opinii, zmyślonej świadomie przez Dmowskiego, padł nawet początkowo i „Kurjer Poranny". W obronie napastników, aczkolwiek w formie nieśmiałej, ze względu na cenzurę rosyjską, stanął jedynie „Goniec". Niestety, „Goniec" — z powodu wynikłej stąd sprawy honorowej pomiędzy jego redaktorem a Dmowskim — musiał chwilowo zaprzestać obrony stanowiska młodzieży.

Bezpośredni sprawca zajścia, A. Ostrowski, świadkowie wydarzenia — W. Śpiwak i K. Łukoski, oraz sekundanci Ostrowskiego — Gustaw Dreszer i T. Szymański, zapragnęli sprostować przebieg zajścia i w tym celu wystosowali do „Gazety Warszawskiej" odpowiednie listy. Listy te jednakże nie zostały wydrukowane w tym dzienniku. Podał je dopiero do publicznej wiadomości „Kurjer Poranny". W numerze z dnia 3 lipca 1911 r. „Kurjera Porannego" sprawca napadu na Dmowskiego, Antoni Ostrowski, ogłosił następujące oświadczenie:

„Wobec artykułu p. Romana Dmowskiego „List otwarty do niewiadomych" i artykułów „Historja nędznej napaści" oraz „Wywiad u p. Dmowskiego" ogłoszonych w Nr. Nr. 177 i 178 *Gazety Warszawskiej*, oświadczam, że w d. 30 czerwca r. b. o godz. 12-iej w południe spoliczkowałem publicznie p. R. Dmowskiego *dla przyczyn dobrze zarówno mnie jak i jemu znanych*, (podkreślenie moje) wręczywszy mu uprzednio bilet swój wizytowy ze wskazanym dokładnie adresem, poczem oczekiwałem świadków p. R. Dmowskiego. Tymczasem do dnia dzisiejszego wyzwania od p. R. Dmowskiego nie otrzymałem, wobec czego uważam go za człowieka pozbawionego czci, oszczercę i tchórza.

W Warszawie, d. 2 lipca 1911 r.

Antoni Ostrowski".

Dnia 1 lipca 1911 r. ukazał się w „Kurjerze Poranny" list następującej treści:

Szanowny Panie Redaktorze!

W dzisiejszej *Gazecie Warszawskiej* p. Roman Dmowski wydrukował „List otwarty do niewiadomych" w sprawie czynnego znieważenia go publicznie przez jednego z kolegów naszych. W liście tym p. Dmowski, rzuca na niego oszczerstwo, nazywając go tchórzem, który unikał odpowiedzialności za swój czyn. Jednocześnie p. Roman Dmowski przedstawia sprawę kłamliwie, podając się za ofiarę napaści, dokonanej przez nieznanego mu osobnika. Niniejszem czujemy się w obowiązku oświadczyć, iż jest to kłamstwo. Pan Dmowski posiadał adres czynnie znieważającego go kolegi, na co zresztą wskazuje fakt, którego byliśmy świadkami, a który przytaczamy poniżej.

Około g. 3 m. 30 pp. wychodziliśmy wspólnie ze sprawcą południowego zajścia z jego mieszkania, gdzie oczekiwaliśmy na przybycie wysłanników p. Dmowskiego. Wychodząc, w bramie tegoż domu, spotkaliśmy p. Zygmunta Balickiego z jakimś drugim panem, nieznanym nam osobie. Panowie ci zapytali, który z nas jest panem N., sprawcą dzisiejszego zajścia. Wymieniony potwierdził, że to on osobiście spoliczkował p. Dmowskiego.

Otrzymawszy tę odpowiedź przybyli, wyrażając swe niezadowolenie, odeszli, nie wręczywszy nikomu z nas swych kart wizytowych.

Nie wiemy, czy p. Z. Balicki i jego towarzyszy byli wysłannikami p. Dmowskiego, oczywiście jest jednak, iż p. Balicki jedynie z karty wizytowej wręczonej p. Dmowskiemu dowiedział się o nazwisku i adresie sprawcy zajścia. Łączymy wyrazy szacunku

Gustaw Dreszer, Tadeusz Szymański.  
Warszawa, 30 czerwca 1911 roku".

By rozwiać insynuację prasy endeckiej i wskazać prawdziwe powody zajścia, „Goniec Wieczorny" zamieścił w dniu 3 lipca 1911 r. ostrożną notatkę, w której m. in. czytamy:

„Wczoraj dwaj upoważnieni przedstawiciele młodzieży udali się do p. Z. Balickiego, przywódcy Nar. Demokracji i oświadczyli mu, że czynne znieważenie p. Romana Dmowskiego było *odruchem całej młodzieży na stanowisko zajęte przez Narodową Demokrację w osobie p. Romana Dmowskiego, a to tylko w jednej konkretnej wiadomej sprawie*, (podkreślenie moje), natomiast, że co do reszty działalności Narodowej Demokracji młodzież wcale nie wdaje się w sprawy natury ogólnie politycznej".

Dalsze inwektywy ukrócił Dreszer, który — dał do zrozumienia redaktorowi „Gazety Warszawskiej", iż jeśli dziennik ten nie zaprzestanie kłamliwej kampanii przeciwko młodzieży niepodległościowej — może się spotkać z jej strony z przykreimi następstwami. Groźba ta podziałała i dalsze ataki prasy endeckiej na młodzież narodowo myślącą ustały.

By zrozumieć należycie pobudki, jakie skłoniły młodzież do tak ostrej reakcji przeciwko zniesieniu bojkotu szkół rosyjskich, należy zaznaczyć się z artykułem, omawiającym ten incydent na łamach pisma „Dla Polski". W artykule tym, podpisanym literą W. (Ś. p. Wacław Vorbrodt, zginął w 1920 r. pod Dubienką), a noszącym tytuł: „Wobec uchwał Narodowej Demokracji" (Nr. 4 z dnia 1 września 1911 r.) m. in. czytamy:

„Trudny mieliśmy problemat do rozwiązania, jak zachować się wobec omawianej uchwały, bo tam, gdzie jesteśmy zmuszeni zajmować się polityką, nie opieramy jej tylko na uczuciu, ale głównie na rozumowym przemyśleniu. Odpowiedzią naszą na uchwałę i określeniem naszego stanowiska był policzek, wymierzony szefowi stronnictwa N. D. p. R. Dmowskiemu. Nie zawahaliśmy się przed tym niekulturalnym objawem walki, bo nie mieliśmy innego sposobu, któryby dostatecznie mocno podkreślił nasze stanowisko".

Oto dokumenty z przed 25-ciu lat.

Kazimierz Grudziński.

## F I L M

BUTELKI (Kino Światowid).

rysunkówka z cyklu „Happy Harmonies".

Film rysunkowy — to ekranowy przekład najbajeczniejszych snów i pomysłów. Wspaniałe baśnie „Konik polny i mrówka", czy też słynne „Trzy małe świnki" Disney'a są rzetelnymi arcydziełami sztuki filmowej.

„Butelki" z serii „Happy Harmonies" nie ustępują pod względem pomysłów najlepszym filmom rysunkowym.

Pyszny taniec butelek trzeba zobaczyć — opisać go nie można. Trzeba widzieć wyczarowaną śmierć, która zmienia aptekarza w liliputa i każe mu przepływać przez szereg retort — trzeba widzieć makabryczny taniec duchów amonjaku.

Film rysunkowy wkroczył w strefę nowych osiągnięć artystycznych.  
Kaz. L.



# PRZEGŁĄD POLITYCZNY

## INTERWENCJA PRZECIW DEMOKRACJI W HISZPANII

W ośrodku uwagi całego świata jest już od miesiąca blisko Hiszpania. Wojna domowa toczona przy zastosowaniu wszystkich najnowszych środków walki (jak dotychczas z wyjątkiem gazów) na wielkich przestrzeniach półwyspu Pirenejskiego, ogarniających 505.000 klm. kw. z 24 milionami ludności zalewa krwią, niszczy pożogą miasta, miasteczka i osady. Na łamach prasy codziennej powtarzają się znane nazwy Madrytu, Sewilli, Barcelony, Saragossy, a obok nich nieznane szerokiemu ogółowi lub mało mówiące — jak Ciudad Real, Burgos, La Linea, lub Samo-Sierra, Algeciras. Po geografii Mandżurji i Abisynji cały świat uczy się mapy Hiszpanji, gorączkowo śledząc nieraz depesze, które donoszą w nieładzie dającym obraz wydarzeń, o zajęciu tego lub owego miasta przez wojska rządu madryckiego, bądź znowu o wkroczeniu armji zbuntowanej generałów, którzy chcą wolną republikę hiszpańską przeobrazić raz jeszcze na dyktaturę.

Trudno stawiać horoskopy i przepowiadać, czem skończą się te krwawe zmagania. Dziś jednak można śmiało powiedzieć, że jeżeli zasada tak zwanej nieinterwencji, niemieszania się do spraw wewnętrznych Hiszpanji będzie urzeczywistniona lojalnie, to naród hiszpański zwycięży, zlikwiduje spisek i urządzi swoje życie w przyszłości tak, jak mu to będzie najwygodniej, najlepiej i najkorzystniej.

Obecnie wiemy już dobrze, że zasada ta może dopiero będzie zastosowana, bo jak dotychczas, interwencja w sprawach hiszpańskich istniała jeszcze zanim generał Franco rozpoczął swój bunt w Maroku przeciw prawowitej władzy w Madrycie.

Przypomnijmy sobie, że zaledwo rząd hiszpański rozpoczął obronę przeciw spiskowi wojskowemu, przeciw typowemu hiszpańskiemu, jak zdawało się, pronunciamiento, a już w prasie reakcyjnej całego świata, a przedewszystkiem hitlerowskiej i w organach prawnicy francuskiej rozpoczęło się ujadanie na rząd francuskiego Zjednoczenia Ludowego za pomaganie Frontowi Ludowemu (Frente Popular) w Hiszpanji. Bardzo szybko wyjaśniło się, że ta kampanja opiera się na fałszach, za podłoże do niej użyto wiadomości o zamówieniach na samoloty, które rząd hiszpański poczynił we Francji dawno przed wydarzeniami lipcowymi. Natomiast zanim jeszcze wyjaśniono w tej sprawie, co należy, przypadek

chciał, że wyświetlono prawdziwe podłoże tej kampanji, prowadzonej w myśl przysłowia: „sam krzyczy, sam bije”. Pięć samolotów włoskich uzbrojonych według ostatnich wymagań techniki, należących jeszcze do 20 lipca do bazy lotniczej na Sardynji, znalazło się przez pomyłkę nad Maroko francuskim, 2 z nich uległy katastrofie. I oczom zdumionego świata odsłoniły się książeczki wojskowe oficerów i żołnierzy włoskich, wystanych z pomocą do gen. Franco. Jednocześnie nieomal pod pozorem udzielania pomocy turystom i obywatelom niemieckim na wodach hiszpańskich, w portach półwyspu Pirenejskiego i Maroka pojawiła się flaga z zygzakami hitlerowskimi. „Deutschland”, „Admiral von Scheer” i różne „Leopardy” i „Luchsy” o wymownych nazwach, przypominających agadirską „Panterę” cesarza Wilhelma, uprzestrzyły wodę cięśniny Gibraltarskiej, składając hołdy generałom, którzy powstałi przeciw własnemu ludowi. Admirał Carles radził 3 godziny z gen. Franco w Ceucie, a jego koledzy ściskali ręce gen. Queipo de Llano w Sewilli. Co to wszystko ma znaczyć? Kto interwenjuje? Czy ci admirałowie niemieccy są na służbie rządu francuskiego, czy oficer włoski, który konając na ziemi Maroka francuskiego szeptał: „wszystko ten Franco...” — interwenjował na rozkaz z Paryża? Oczywiście, każdy prostaczek, nie znający arkanów dyplomacji rozumie, że mocarstwa interwenjujące w wojnie domowej hiszpańskiej, to — hitlerowskie Niemcy i faszystowska Italia. Nikt więcej. Te dwa mocarstwa nie tylko wchodziły się do walki wewnętrznej, ale one ją umożliwiły, one do niej popchnęły... Trzeba przyznać prasie prawniczej francuskiej, że dowody, bijące zresztą w oczy, przekonały ją, naganą na rząd ustąpiła, zrozumiano, kto interwenjuje. A wtedy odsłonił się rąbek tajemnicy. Czytaliśmy rewelacje, którym dotąd nie zaprzeczono, że przed wybuchem buntu gen. Franco szły tajne układy pomiędzy przyszłymi spiskowcami, a emisariuszami faszystwu i hitleryzmu. Przypomniano, że już za czasów dyktatora Primo-de-Rivery, którego syn prowadzi teraz „falangę” faszystowską do boju przeciw milicji ludowej hiszpańskiej, zawierano układ, który oddawał Italji bazę dla floty na Balearach w Port Mahon na Minorce. Dyktatorom bowiem zawsze wolno dzielić swoją ojczyznę. We wznowionych planach kandydatów na dyktatorów hiszpańskich mowa była o udzieleniu dwóm wciąż niesytym ziemi państwom condominiumu na odwieczne hiszpańskich wys-

pach, a do tego możeby doszedł jeszcze jaki dodatek w Maroku hiszpańskiem. Wzamian za to wytwórnie sprzętu wojennego w Rzeszy Niemieckiej i w Italji miały dostarczyć spiskowcom z Burgos (stolica Nawarry, w której urzęduje trzeci wódz powstania gen. Molo) broni dla walki z rządem hiszpańskiem.

W pierwszych chwilach dezorientacji opinii publicznej przez propagandę państw interwenjujących nastąpiło pewne pomieszanie pojęć. Zapomniano w sferach, które zawsze stają w obronie legalności i prawowitości rządów, komu właściwie ta kwalifikacja przysługuje, czy tym, którzy budują nową Hiszpanję w Madrycie i Barcelonie, czy tym, którzy chcą ją wtrącić w odmęty smutnej przeszłości w Ceucie, Sewilli i Burgos.

Przewodniczący kortexów, Martin Barrios, zupełnie słusznie w przemówieniu, wygłoszonym przez radio w Walencji, oświadczył:

— Wobec systematycznej wrogiej propagandy, która usiłuje przedstawić obecny zatarg jako wynikły pomiędzy stronnictwami ładu i porządku, a innymi żywiołami narodu hiszpańskiego, uważam za nieodzowne stwierdzić, że rewolta wojskowa nie została wszczęta przeciwko rządowi marksistowskiemu, ani przeciw państwu marksistowskiemu. Wojskowi podnieśli bunt przeciw państwu hiszpańskiemu, które reprezentuje prezydent republiki, legalnie obrany przez legalne Zgromadzenie Przedstawicieli Narodu. Podnieśli bunt, aby zastąpić wolę powszechną kraju przez wolę jednej tylko klasy społecznej, pragnącej utrwalić na wieki swoje przywileje. Dyktatura Primo-de-Rivery upadła pod ciężarem swoich błędów i odwiecznych wad: wolą Hiszpanji jest, aby nie powstała ona ponownie z popiołów. Demokracja hiszpańska, zorganizowana legalnie w legalnym ustroju, nie może być kwestjonowana. Żądamy od wszystkich krajów, aby uznały naszą niezłomną decyzję. Każdy kraj ma prawo do decydowania o swoich losach i do żądania absolutnej neutralności innych państw w tych sprawach”.

Barrios zakończył swoje przemówienie wyrazami wiary w zwycięstwo rządu hiszpańskiego, które jest „nieodzowne dla republiki w Hiszpanji i stanowi nadzieję ludzkości”.

Czego bronią generałowie na czele Le-gji Cudzoziemskiej złożonej po części z Maurów po 12 wiekach wracających pod wodzą Hiszpanów na ziemi półwyspu Iberyjskiego, o tem mówią nam proste cyfry statystyczne. 80% ludności Hiszpanji trudni się rolnictwem. Przed oba-



leniem monarchji a więc jeszcze w 1931 r. 41% rolników posiadało mniej niż 1 ha ziemi, a 36% jej było w rękach 1% właścicieli ziemskich władających ponad 250 ha na osobę. Rewolucja republikańska 1931 r. doprowadziła do reformy agrarnej z 1932 r., ale po zwycięstwie wyborczym partji prawicy reformę rolną odwołano, wprowadzono przepisy, których mocą usunięto z ziemi osadzonych już na niej 40.000 bezrolnych. Po nowych wyborach 1936 r. rząd frontu ludowego przywrócił i rozszerzył reformę rolną. Oto w wielkim skrócie i uproszczeniu podłoże ruchu „narodowego” gen. Franco pod patronatem hitlerystów i faszystów.

Po za zamachem na swobodny rozwój Hiszpanji w myśl życzeń jej ludu, spisek generalski poparty przez wskazane czynniki zamętu międzynarodowego grozi najgorszymi konsekwencjami w razie swego powodzenia, całemu światu.

Inicjatywa francuska w sprawie paktu o nieinterwencji do spraw w Hiszpanji pozwala na ujawnienie istotnych zamiarów sił, działających na szachownicy międzynarodowej. Włochy i Niemcy, które pierwsze podjęły krzyk z powodu rzekomej obcej interwencji w Hiszpanji,

obecnie mają różne wobec inicjatywy francuskiej zastrzeżenia zgóry pomiędzy Berlinem a Rzymem ułożone. Głos decydujący należy i tym razem do W. Brytanji, która jak to wciąż się zdarza w ostatnich czasach, nie może zdecydować się. Sojusz hitlerowsko-faszystowski uważał za pewne, że w obawie wpływów komunistycznych w pobliżu Afryki i Morza Śródziemnego W. Brytanja poprze stanowisko berlińsko-rzymskie. Tu jednak przeliczono się: zarówno opinja angielska jak i rząd nie mają wcale pewności, że zaborczy hitlerysta i faszysta są lepsze od komunizmu. Natomiast nie ulega dla Foreign Office żadnej wątpliwości, że ulokowanie się Mussoliniego i Hitlera na Balearach i w Maroku po upadku państwa Negusa byłoby nową niepowetowaną klęską dla Imperjum Brytyjskiego. Na razie więc Londyn rozważa, myśli, jak zwykle „ma czas”, ale trzyma się ścisłej neutralności, inicjatywę francuską popiera. Swoją zaś stosunek do Z. S. R. R. ujawnił w udzieleniu pierwszej pożyczki rządowi Sowieci w postaci emisji bonów na rynku angielskim. Wbrew rachubom zbuntowanych generałów i ich protektorów W. Brytanja nie popiera i

nie poprze kontrrewolucjonistów hiszpańskich.

Akcja dyplomatyczna francuska nie ocali oczywiście republiki hiszpańskiej, gdyby jej miało nie starczyć sił dla uporania się z przeciwnikiem. Akcja ta jednak daje okazję do zdemaskowania graczy, i tych, co ślą samoloty z Sardynji i tych, którzy posyłają okręty, aby ułatwić desanty Legji Marokańskiej na południu Hiszpanji. Z dotychczasowego rozwoju wydarzeń widać jasno, że bez tej obcej pomocy marynarze, żołnierze, organizowana w ogniu walk milicja i szerokie warstwy ludu w krwawych zmaganiach sprostałyby ciężkiemu zadaniu, które spadło na barki narodu hiszpańskiego — zadaniu obrony i utrzymania republiki i demokracji. Czy wystarczy dyplomatyczna zasada nieinterwencji, aby w tej walce dwóch sił w społeczeństwie hiszpańskim nie decydował trzeci czynnik — obcy, mający własne cele i zadania — trudno powiedzieć. Przykłady z historii jednak mówią, że koalicje interwencyjne reakcji jedynie przewlekają akcję wyzwolenczą mas ludowych, ale nie są w stanie jej zdławić i zniszczyć. C. D.

## WYDARZENIA I DOKUMENTY

### ZABAWKI POLITYCZNE.

*Gazzetta del Popolo* jeden z naczelnych organów faszystów donosi o nowościach, jakie można podziwiać na odbywającym się w Turynie „Jarmarku Zabawkarstwa Włoskiego”.

Jarmark zgromadził dużo pomysłów „nowych i oryginalnych”, jak np. kartaczownice, zmontowane na trycyklach, malutkie wózki pancerne zamiast odwiecznych samochodzików, i całe mnóstwo sprzętu wojennego „niewygórowanego w cenie, a nadzwyczaj zabawnego”.

„Rozweselająca nowość” obecnego sezonu stanowi negus, który wylatuje w powietrze, a upadając na ziemię, roztrzaskuje się... Za skromne trzy liry nasze dzieci mogą wyrzucać w powietrze byłego cesarza Abisynji.

Takie oto „przemile” zabawki...

### Z PODRĘCZNIKÓW NIEMIECKICH.

Dwa przykłady zadań z niemieckich podręczników arytmetyki dla szkół powszechnych:

„Eskadra, złożona z 46 bombowców, rzuca bomby na miasto nieprzyjacielskie. Każdy samolot zaopatrzony jest w 500 bomb, z których każda waży 1.500 gr. Oblicz ciężar wszystkich bomb. Ile pożarów powstanie, jeżeli co trzecia bomba wybuchnie i jeżeli przy 20 wybuchających bombach powstanie pożar?”

„Bombowce dziennie lecą z szybkością 280 km. na godzinę. Bombowce nocne z szybkością 240 km. Oblicz ile czasu zużyją na drogę między Wrocławiem a Pragą, Monachjum a Strasburgiem, Kiloniją a Metzem?”

### ALFONSO ŹLE SIĘ ORJENTUJE.

Wyproszony z ojczyzny i zażywający dożywoćniwych wywczasów poza jej granicami ostatni król Hiszpanji, na wieść o wybuchu wojny domowej po buncie części armji, wyraził do jednego z korespondentów zagranicznych swą gotowość powrotu na tron, gdy go o to poproszą. Najwidoczniej b. król hiszpański nie orjentuje się, o co chodzi w walce zbuntowanych generałów Franca i Molla z siłami rządu młodej republiki, że toczy się ona nie dla restauracji monarchji, lecz dla zginięcia Frontu Ludowego przez reakcję faszystowską.

Alfonso XIII stanowczo i chrończnie mało myśli: inaczej zauważyłby już do tej pory, iż sprawcy ostatnich wielkich przewrotów antydemokratycznych na Zachodzie nie działali w imię idei monarchicznej. Hitlerowi nie śniło się poprawiać wyroku historii, który z Wilhelma II uczynił ostatniego cesarza Niemiec. Mussolini nie byłby z pewnością bardzo zmartwiony, gdyby jego marsz na Rzym nie był zastąpiony w Kwirynale naj-

dzielniejszego numizmatyka wśród monarchów i najdzielniejszego monarchę wśród numizmatyków.

Poza tem Hiszpanja nie ma ani swego Hitlera, ani Mussoliniego.

Alfonso tego wszystkiego nie rozumie i nie orjentuje się, że nigdy go już Hiszpanja na tron nie poprosi, że to nie Grecja dąsięsza.

Skończyły się nazawsze piękne dni Aranjuezu.

Przed trzydziestu prawie laty robiła furorę w paryskich kabaretach piosenka o kłolu Hiszpanji, z takim refrenem:

*Alfonso, Alfonso,  
Vas — tu se tenir comme il faut!*

Przez tyle lat nie nauczył się zachowywać... *comme il faut*.

### PROBLEM GODZINY TRZECIEJ.

W *Echu Społecznym* (nr. 15) pisze p. Józef Czyściecki:

„Opinia publiczna domyśla się, że sfery bezpośrednio zainteresowane t. j. rzesze urzędnicze wiedzą doskonale, że oprócz „problemu godziny ósmej” istnieje „problem godziny trzeciej”. Gorliwość z jaką się walczy o to, aby urzędnicy nie przychodzili do biura po godzinie ósmej, należałoby uzupełnić troską, aby ci sami urzędnicy nie przychodzili do biura po godzinie trzeciej.



Przypominam sobie, — trzeba tu oddać panu premierowi sprawiedliwość — przed laty był wydany przez niego, jako ówczesnego ministra spraw wewnętrznych okólnik, nietylko nakazujący urzędnikom przychodzenie o 8-ej, ale i zakazujący pracy w t. zw. godzinach pozaurzędowych. Było to zarządzenie słuszne i ludzkie. Niestety w praktyce realizowano tylko jego część pierwszą. Urzędnicy nie byli w stanie „wyrobić się” w godzinach urzędowych. Ponieważ zaś popołudniu nie wolno było do biura przychodzić, zaległości rosły, brano robotę do domu. Pewien starosta opowiadał mi, że w jego starostwie zasłaniano popołudniu okna kocami i pracowano przy świecach. Dlaczego przy świecach? — Dlatego, żeby rachunek za światło nie zdradził nas, że pracowaliśmy, — wyjaśnił mi ów starosta. Niewiem, czy starostunio nie przesadził. Faktem jednak jest, że życie przekreśliło ow słuźny i szlachetny w tendencji okólnik. Dzisiaj wznowiono problem godziny ósmej, a zapomniano o godzinie trzeciej. A przecież państwo jako pracodawca tylko wtedy miałoby pełne prawo moralne żądać od urzędników punktualności, gdyby wzamian szanowało ich czas i zdrowie. Wiemy, że tej wzajemności niema. Olbrzymie rzesze urzędnicze pracują w godzinach pozaurzędowych i pracują za darmo. Tak, za darmo.

Pracownik publiczny ma silnie rozwinięte poczucie społeczne. Zniósł już wiele i cierpliwie. Niejedną już ofiarę złożył na t. zw. ołtarzu. Pogodzi się również ze skróceniem porannego snu, rozumie bowiem, że spóźnianie się jako reguła, zwłaszcza spóźnianie dawkowe w zależności od stopnia słuźbowego lub szerokości pleców, jest niedopuszczalne w dobrze zorganizowanym aparacie administracyjnym. Pracownik publiczny ma jednak prawo żądać, aby równocześnie z problemem godziny ósmej wysunięto na porządek dzienny problem godziny trzeciej. Tego wymaga zwykła ludzka sprawiedliwość”.

#### LISTY DO „EPOKI”

Chciałbym zwrócić uwagę na pewną anomalję: o buncie wojskowo - faszystowskim w Hiszpanji cała niemal nasza prasa pisze, jako o „powstaniu”, a zbuntowanych przeciw rządowi hiszpańskiemu nazywa „powstańcami”. Od kiedy to ci, którzy w niepodległym państwie, walczą

zbrojnie z rządem i ustrojem nazywają się „powstańcami”? Szczególnie razi to u nas, gdzie przecież z pojęciem powstania i powstańców łączyliśmy zawsze walkę z zaborcą.

Przeciw legalnemu rządowi i przeciw republice w Hiszpanji wystąpili faszyci hiszpańscy, monarchiści, karliści. Można ich nazwać — jeśli kto chce — rewolucjonistami (już w naszych czasach widzieliśmy rewolucje prawicowe), ale skądże nazwa „powstańców”?

*Epo*ka również parę razy użyła tego dziwnego i fałszywego określenia.

*Stały i oddany czytelnik.*

#### ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Panu Witoldowi B. w Krakowie:* Za nowe dowody życzliwości bardzo Panu dziękujemy.

*Panu Zygmuntowi B. w Radomiu:* Słusznie. Pismo jest dla ludzi umysłowo rozwiniętych, zdolnych do samodzielnego myślenia. Największy odsetek stanowią przedstawiciele wolnych zawodów. Numery okazowe wysłaliśmy.

*Panu Stefanowi W. w Krakowie:* Zna-

cznie więcej, niż to się pozornie wydaje, nie wszyscy ulegli zarazie psychicznej. I tam rośnie liczba przyjaciół. Za dowody życzliwości bardzo dziękujemy.

*Pani Amelji J. w Lublinie:* Nada się do wydawnictw zawodowych. Zatrzymaliśmy do zwrotu.

*Panu Henrykowi G. w Częstochowie:* Numery wysłaliśmy. Dziękujemy.

#### KSIAŻKI NADESŁANE

*Jakób Wasserman:* Trzecia egzystencja Józefa Kerkhovea. Powieść pierwsza: Świat urojenia. Powieść druga: Świat wiary. Instytut Wydawniczy „Renaissance”. Warszawa — Kraków — Poznań — Lwów 1936.

*Dr. Wilhelm Stekel:* Wychowanie rodziców. Ars Medice. Warszawa — Poznań — Kraków — Lwów 1936.

*Główny Urząd Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej:* Mały Rocznik statystyczny 1936.

*Giono:* Wielka trzoda. Powieść — Instytut Wyd. Renaissance. 1936.

*Inż. Aleks. Pańkowski:* Gospodarka parowozowa w Polsce.

## „E P O K A”

wychodzi obecnie  
dwa razy  
miesięcznie  
z datą 5-go  
i 20-go dnia  
każdego  
miesiąca

## Od wydawnictwa

### Prenumeratorów

„E p o k i”  
którzy dotychczas  
nie nadesłali należności za czerwiec, lipiec i sierpień r. b. (zł. 3.—) prosimy o jej uregulowanie, by uniknąć przerwy w otrzymywaniu pisma

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. REKOPISÓW nie zwraca się. PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedynczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC.

2905 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.